



# *Day Leclair*



# *Miłość czy korona?*

Tytuł oryginału: The Prince's Mistress

# **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

## ***Roche, Księstwo Verdon, Verdonia***

Książę Lander Montgomery podniósł słuchawkę telefonu. Mówił tonem kategoriycznym.

- Jesteś mi to winien, Arnaud. Od lat masz u mnie dług. Nadszedł czas, by go spłacić. A ja znam sposób, jak możesz to zrobić najlepiej.

- Nie jestem twoją własnością, do cholery - odpowiedział John. Jego głos brzmiał, jakby stał w tym samym pokoju, chociaż był na drugim końcu świata. - Przez ciebie i twoich kompanów moje życie na Harvardzie było piekłem. Masz szczęście, że nie próbowałem wyrównać rachunków. Ale teraz, skoro zadałeś sobie tyle trudu, żeby mi przypomnieć o starych, dobrych czasach, rozważę to.

- Pamiętaj tylko to, co ci wygodnie. Już myślałem, że zapomniałeś o tej nocy po zakończeniu roku akademickiego. - Lander zawahał się. - Nie wspominając o obietnicy, którą złożyłeś.

John przeklął pod nosem.

- Straciłem głowę i tylko dlatego złożyłem tę propozycję.

- Nie wątpię. Ale ją złożyłeś. Wycofując ją, straciłbyś honor, a biorąc pod uwagę twoje pochodzenie, sądziłem, że honor jest dla ciebie wszystkim.

Zapadła śmiertelna cisza. Lander zastanawiał się, czy przypadkiem nie przesadził. Po chwili usłyszał:

- Czego chcesz, Montgomery?

- Chcę porozmawiać o propozycji biznesowej. Wydaję bal dobroczynny w sobotę. Rozumiem, że przebywasz w sąsiedztwie.

- O ile Paryż leży w najbliższym sąsiedztwie.

- To dużo bliżej niż Dallas. Na jaki adres powinienem wysłać zaproszenie?

- Na adres centrali firmy. I przygotuj dwa zaproszenia. Jest ktoś, kogo chciałbym zaprosić na bal.

- Jeszcze dzisiaj goniec ci je dostarczy.

- Nie powiedziałaś mi - zaciekawienie wkradło się w ton głosu Johna - czego chcesz ode mnie.

Lander uśmiechnął się z satysfakcją. Wiedział, że ciekawość to dobra rzecz. Bardzo dobra.

- Nic specjalnego. Chcę tylko, żebyś uratował Verdonię.

Była spóźniona. Niewybaczalnie spóźniona.

Julianna Rose w myślach popędzała kierowcę. Przed nimi olbrzymi korek blokował ulice Roche, stolicy Verdonii. Nawet gdyby dotarła na miejsce w pięć minut i tak istniała obawa, że będzie ostatnim gościem. Spoglądając przez okno, usiłowała zobaczyć, ile jeszcze mają do przejechania. Stojący na wzgórzu pałac górował nad miastem. Błyszczał i srebrzył się złotem poniżej wczesnego czerwcowego księżyca. Jego wdzięczne wieżyczki nadawały mu bajkowy wygląd. Widok ten obudził w niej marzenia o życiu jak z bajki, ze szczęśliwym zakończeniem, choć już dawno temu się nauczyła, że takie rzeczy są niemożliwe - przynajmniej nie dla niej.

To był jej pierwszy bal, nagroda za dobroczynną pracę dla Aniołów Arnauda. Pojawienie się na balu później niż rodzina królewska było niewłaściwe. Nie była nawet pewna, czy ją wpuszczą. Albo czy jej nie zawrócą sprzed drzwi, zanim będzie miała szansę zerknąć do środka. A je-

śli to zrobią? Wzruszyła ramionami. Miała przy sobie walizkę pełną pracy do zrobienia w swoim apartamencie i tuzin potencjalnych kandydatów, którzy mogliby skorzystać z dobroczynności Aniołów.

Taksówka skręciła na podjeździe, zbliżając się do pałacu. Julianna okryła szalem ramiona i dekolt, złożyła dłonie i starała się uspokoić, wykonując obliczenia skomplikowanego równania matematycznego. Będąc dzieckiem, wymyśliła ten sposób na wyciszenie się.

W końcu podjechała pod bramę pałacu.

- Pieczara Lwa - zaanonsował kierowca prawie doskonałą angielszczyzną.

Większość mieszkańców Verdonii mówiła płynnie po angielsku od czasu, kiedy stał się ich drugim językiem urzędowym. Nawet dzieci, z którymi pracowała, mówiły po angielsku tak dobrze jak ona po verdońsku.

- Dlaczego nazywacie to miejsce Pieczarą Lwa? - ciekawość zmusiła ją, by zadać to pytanie.

Wzruszył ramionami.

- Księżę Lander jest Lwem w Roche.

- Dlatego pałac nazywacie Pieczarą Lwa?

- Cóż... może niekoniecznie w obecności Jego Wysokości - odpowiedział rozbawiony.

Rzuciła szybkie „dziękuję”, wręczyła kierowcy szczodry napiwek i wysiadła z samochodu. Prawie czuła uciekający w szalonym tempie czas, jednak zdecydowała, że nie będzie się spieszyć. Całą sobą chłonęła piękno otoczenia. W normalnej sytuacji nigdy by się nie ośmieliła brać udziału w takim przedsięwzięciu. Ale była w Verdonii, małym europejskim państwie, rzadko przyciągającym uwagę mediów i niezbyt interesującym

dla paparazzich. Nikt nie znał jej prawdziwego nazwiska, które brzmiało Arnaud. Dla świata była po prostu Julianną Rose, pracowniczką organizacji dobroczynnej, zaproszoną na bal w nagrodę za swoją pracę.

Ta noc tworzyła wyjątkową okazję. Miała możliwość pozbyć się, choć trochę, swojego wizerunku osoby konserwatywnej. Mogła błyszczeć i jaśnieć. Nie musiała się zastanawiać nad tym, czy ktoś na nią patrzy, czy notuje każde jej słowo, w co jest ubrana albo z kim tańczy. Tej nocy mogła być sobą i niech diabli wezmą konsekwencje.

Lokaj przeszedł obszerny hol, dyskretnie prowadząc ją przez korytarz. Tak jak się spodziewała, była jedynym gościem nieuczestniczącym jeszcze w balu. Obcasy jej pantofelków wybijały szybki rytm na marmurowej podłodze. Z każdym krokiem czuła się coraz bardziej jak Kopciuszek. Na szczęście jej suknia od Ehe Saab nie mogła się zamienić w łachmany wraz z wybiciem północy.

Minęła olbrzymie kolumny doryckie i znalazła się na szczycie kręconych schodów, z których mogła zobaczyć zgromadzonych gości. Rozglądając się wkoło, chłonęła atmosferę tego miejsca. Przepiękne kompozycje kwiatowe umieszczone w barwnych dzbanach i wazach wypełniały pomieszczenie świeżym, soczystym zapachem. Przez szeroko otwarte okna wpadał powiew ciepłego letniego powietrza, wprawiając w drganie płomyki świec. Skupiła swoją uwagę na schodach prowadzących w dół. Nagle zauważyła go. Stał tak, jakby właśnie na nią czekał.

Był wysokim mężczyzną. Górował nad innymi. Ubrany w czarny smoking trzymał się prosto i dystyngowanie. Gęste, falujące włosy okalały jego twarz. Pasma wybielone przez słońce gdzieś rozjaśniały głęboki brąz.

Zwróciła uwagę na rysy twarzy, mocno zaznaczone, jakby wyszły spod dłuta, wysokie kości policzkowe i silną, zaokrągloną szczękę, której kształt ostrzegał przed upartą naturą jej właściciela. Jednak to usta fascynowały ją najbardziej. Pełne, zmysłowe i idealnie wykrojone wargi stworzone były do tego, by dawać kobiecie przyjemność. Właśnie te usta zdradzały, że był wulkanem namiętności. Pod wpływem tych myśli uśmiechnęła się. Nagle zdała sobie sprawę, że on też na nią patrzy. Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy. Ich spojrzenia spotkały się i czas zatrzymał się w miejscu. Nigdy jeszcze podczas jej dwudziestopięcioletniego życia nie doświadczyła czegoś takiego. Poczula się jak porażona piorunem. Nigdy wcześniej nie wierzyła, że coś takiego jest możliwe. Aż do tej chwili.

Domyślała się, co to za typ mężczyzny. Instynktownie czuła z nim jedność na podstawowym poziomie swojej duszy. Całe jej jestestwo mówiło, że jest silnym mężczyzną. Potężnym. Władczym. Wiedziała, że spojrzał na nią i zdecydował, że chce, aby była jego. Chciał ją mieć, zagarnąć w ramiona i zaprowadzić do swojej jaskini.

Duma unieruchomiła ją w miejscu. Dobrze znała takich mężczyzn. Miała już w życiu do czynienia z podobnie silnymi i potężnymi osobnikami. Zawsze wynikały z tego kłopoty. Czuła, co powinna zrobić. Obrócić się na pięcie i opuścić pałac.

Był jednak mały problem. Ona również go pragnęła. Ucieczka czy konfrontacja? Zdrowy rozsądek czy szaleństwo? Wahala się przez chwilę, po czym uniosła dumnie głowę. Nigdy dotąd nie narażała się na rozpoznanie. Ten wieczór był jednak wyjątkowy. Unosząc w górę swoją

szyfonową suknię, Julianna zaczęła schodzić w dół, pogodzona z każdym wyrokiem Opatrzności.

Książę Lander Montgomery stał na dole schodów prowadzących do sali balowej. Wzrok utkwiony miał w zjawiskowej postaci. Była absolutnie cudowna - posągowa. Miała figurę, która doprowadzała mężczyzn do szału. Kolor jej skóry można było porównać do białych lilii, a kolor bujnych włosów w pierwszym momencie wydawał się brunatny, jednak po chwili można było dostrzec jasne, rozświetlające je pasma.

Ubrana była w elegancką srebrną suknię z małymi rękawkami i gorsetem, który uwypuklał piękno jej szyi, ramion i krągłość piersi. Rozglądała się po sali balowej, uśmiechając lekko. Na jej twarzy malował się pewien dystans, który zupełnie do niej nie pasował. Spojrzała w jego kierunku. To było najbardziej intymne spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział - otwarte i bezpośrednie, pobudzające jak troska kochanki. Jeszcze nigdy nie czuł takiego pragnienia. Dotychczas to on był panem i władcą, to on ustalał zasady. To było jego prawo i zawsze z niego korzystał. Aż do tej chwili.

Julianna podała zaproszenie marszałkowi dworu i po chwili ruszyła w dół schodów, w jego kierunku. Lander zauważył, że w myślach błogosławi boskiego kreatora, który zaprojektował jej suknię. Srebrny materiał, przylegając do jej kształtnych bioder, zrobił na nim silne wrażenie.

Julianna stanęła na ostatnim stopniu schodów. Wpatrywała się w niego oczami koloru złota z plamkami w odcieniu miodu. Zauważył ledwie zduszoną ekscytację, połączoną z wewnętrznym ogniem, który czuł nawet z takiej odległości. Przyciągała go, wywołując niekontrolowane

pożądanie. Budziła w nim drapieżnika. Zapragnął zatrzymać jej błyszczące spojrzenie na sobie i tylko na sobie, żeby odkryć przyczynę jej zduszonych pragnień. Uwolnić je. Dokładnie tak, jak pragnął wyzwolić jej wewnętrzny ogień i wygrzewać się w cieniu jego intensywności.

Słysząc było szmer rozchodzący się wśród zgromadzonych gości. Verdonia była małym państwem, a uczestniczący w dobroczynnym balu ludzie znali się wzajemnie. To był pierwszy bal od śmierci jego ojca. Lander wiedział, że ojcu zależałoby na tym, aby doroczne bale odbywały się jak zwykle, pomimo panującej żałoby. I właśnie w tej ciemności pojawiła się egzotyczna piękność, roztapiając ich smutek swym płomiennym blaskiem. Nie trwało długo, kiedy jeden z wolnych mężczyzn, a nawet niektórzy zajęci, zbliżyli się do niej.

Lander postanowił ich ubiec.

- Dzień dobry - powiedział wprost. - Czekałem na ciebie.

Czujnie zmrużyła oczy i cofnęła się o krok.

- Czy my się znamy?

Dziwne pytanie. Czyżby myślała, że mogli się kiedykolwiek spotkać i się nie pamiętać? To niemożliwe.

- Nie, nie znamy się. Ale mam nadzieję to zmienić. Zaintrygowało go, że westchnęła z ulgą.

- Przepraszam, pomyliłam się - wyszeptała z amerykańskim akcentem. - Pomyślałam, że może już się spotkaliśmy, tylko ja tego nie pamiętam. - Nachyliła się do niego i zniżyła głos. - Nie byłam pewna, czy zostanę wpuszczona, skoro przyszłam później niż rodzina królewska. Nie wątpię, że znasz protokół dyplomatyczny, prawda? Może jest ktoś, z kim powinnam porozmawiać, przeprosić?



Jego zaloty przyniosły lepsze rezultaty, niż się spodziewał.

- Książę Lander, na przykład? - zasugerował z podejrzanym uśmiechem.

Ku jego zaskoczeniu odpowiedziała gwałtownie:

- Stanowczo nie on. Jestem tu na przyjęciu, a nie po to, by nawiązywać kontakty z ważnymi osobistościami. Prawdę mówiąc, pierwsza, którą spotkam, będzie ostatnią, ponieważ wtedy szybko stąd wyjdę.

Starał się zachować kamienną twarz. Niezwykle interesujące. Możliwe, że jest największą kłamczucha, jaką kiedykolwiek spotkał, albo faktycznie go nie rozpoznała. Nie miała zamiaru się z nim poznawać, co by znaczyło, że będzie ją musiał trzymać z dala od każdego, kto mógłby zdradzić jego tożsamość.

- Tak się składa, że znam protokół - odpowiedział poważnym tonem.

- Straciłaś prezentację głównych osobistości. Na szczęście to wyjątkowo nudne, ale to poważne uchybienie w etykiecie przybyć tak późno.

Sprytnym posunięciem będzie zacząć tańczyć najszybciej, jak to możliwe, zanim ktokolwiek zauważy i cię wyprosi.

Niepokój przemknął jej przez twarz, zanim dostrzegła figlarny błysk w jego oczach. Uśmiech rozjaśnił jej rysy, wyrażając niespodziewaną słodycz.

- Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek tutaj umiał tańczyć. Udał, że się rozgląda wokół, a następnie potrząsnął głową.

- Widziałem tych mężczyzn w akcji. Faktycznie nie są wari ryzyka. Biorąc pod uwagę, jak bardzo się spóźniłaś, pozostaje ci wybór: ja albo zamknięcie w lochu.

Otworzyła szeroko oczy i postarała się, aby na jej twarzy pojawiło się stosowne przerażenie.

- Loch? Och!

- Obawiam się, że tak - odparł niewzruszony. - Wszystkiemu winny jest książę Lander. Bierze bardzo poważnie całe to „Jestem lwem, słuchajcie mojego ryku”.

- A więc mogę albo zatańczyć z tobą, albo zostać wrzucona do lochu. Trudny wybór. - Udawała, że się zastanawia. - Przypuszczam, że cierpiałabym w lochu.

- Faktycznie - przyznał, podając jej dłoń.

- Ale bezpieczeństwo nie zawsze jest zabawne.

- I rzadko pozwala nam poczuć pragnienie serca. Podała mu rękę. W chwili, kiedy ich dłonie się spotkały, czas jakby stanął w miejscu. Świat wokół nich się zatrzymał, dźwięki muzyki się oddaliły, a światła przygasły. Jej długie palce poddały mu się z jednoczesną siłą i miękkością. Odkrył, że nie chce jej wypuścić. Pragnął raczej przyciągnąć ją do siebie, poznać wszystkimi zmysłami i dotykać o wiele odważniej, niż tylko trzymając jej dłoń.

Kiedy się w nią wpatrywał, jej serce zaczęło bić mocniej, a usta rozchyliły się w oczekiwaniu. Właśnie tego wypatrywał, najbardziej subtelny kobiecego sygnału przyzwalającego na to, by wziąć dokładnie to, czego pragnął. Tańczyli pierwsze kroki walca, którego właśnie zaczęła grać orkiestra. Poruszając się w rytmie muzyki, okrążyli parkiet. Czuł, jak idealnie do niego pasuje. Pozwalała się prowadzić miękko, bez oporów, a on wzmocnił ruchy, zachwycony lekkością i łatwością, z jaką się poruszała.

Jej zapach uwodził go, upajał się nim.

- Jakich perfum używasz? Nie rozpoznałem.

- Nie możesz ich rozpoznać. To prezent od... - urwała celowo. - To specjalna mieszanka, numer 1794A.

Zastanawiał się, od kogo mogła otrzymać taki prezent. Może od byłego męża albo od aktualnego kochanka? O, do diabła. Martwił się tym, a to był bardzo zły znak. Zacisnął zęby. Intensywnie się zastanawiał, co mógłby powiedzieć, aby odwrócić uwagę od swoich myśli, które zupełnie nie reagowały na jego starania i podążały swoją drogą.

- Jak je nazwałaś?

Pochyliła głowę, aby uważnie spojrzeć mu w oczy.

- Nazwałam? Żartujesz ze mnie, prawda?

Poczuł się oszołomiony.

- Chcesz powiedzieć, że masz perfumy, które opracowano specjalnie dla ciebie i jeszcze nie nadałaś im nazwy?

Wzruszyła ramionami zupełnie zdezorientowana.

- Czy powinnam była to zrobić? Nie miałam o tym pojęcia.

- Większość kobiet tak właśnie by postąpiła. Nazwałyby perfumy swoim imieniem.

- Nie jestem większością kobiet.

- Właśnie zaczynam sobie zdawać z tego sprawę. -W tym momencie zrozumiał, jak bardzo fascynuje go ta osóbka. - Pomyślałem, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jak się nazywasz?

- Julianna Rose. - Figlarny wyraz jej oczu podkreślały jeszcze błyskające w nich złote refleksy. - Czy ciebie powinnam nazywać księżę Czarujący?

Rzucił jej szybkie, podejrzliwe spojrzenie, jednak nie mógł odkryć, co się kryje za tymi słowami.

- Są tacy, którzy by się z tym nie zgodzili - uniknął odpowiedzi.

- Zapewne dlatego, że straszysz swoją partnerkę lochem, jeśli odmówi zatańczenia z tobą. Czy sądzisz, że istnieje szansa obejrzenia pałacu?

- Mógłbym ci pokazać ogród. Niestety, reszta będzie musiała poczekać do następnej okazji.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Innymi słowy, dostępny dla nas jest ogród, ale główna część pałacu niestety nie.

- Coś w tym rodzaju.

- Tak właśnie myślałam. Jesteś wpływowym mężczyzną. Westchnął.

- Na jakiej podstawie wysnułaś taki wniosek?

- Intuicja mi podpowiedziała.

- Czy my się znamy? - zapytał, używając jej wcześniejszych słów.

W odpowiedzi Julianna odsunęła się od niego. Fala zimnego powietrza przecięła przestrzeń między nimi, a ona zeszytniała.

- A powinnam cię znać? - spytała ostrożnie.

- Verdonia to mały kraj.

- Nie jestem Verdonianką.

- Nie. Jeśli się nie mylę, jesteś Amerykanką. I wciąż nie odpowiadasz na moje pytanie.

- W porządku. Tak, jestem Amerykanką.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie i doskonale o tym wiedziała.

Westchnęła i po chwili dodała:

- Nie, nie znam cię. Jeśli chodzi, o mnie, jesteśmy dwojgiem nieznajomych, którzy mają szansę miło spędzić ten wieczór, wiedząc o tym, że potem każdy pójdzie swoją drogą.

- Zamiast „i żyli długo i szczęśliwie” wolisz „dobrze się bawili tej jednej nocy”? Czy po to tu przyszałaś? Zamierzałaś spotkać na tym balu nieznajomego i spędzić z nim wieczór?

Julianna nie okazała zdenerwowania. Przyjęła postawę dumną i zdystansowaną.

- Przyszłam na ten bal, ponieważ otrzymałam zaproszenie - odparła z prostotą. - Mam ten jedyny wieczór, ponieważ to wszystko, co mi dano. Po tym wieczorze wrócę do swojego świata. Już dawno odkryłam, że nie ma takich zakończeń jak „i żyli długo i szczęśliwie”. I jedna noc na królewskim balu tego nie zmieni.

- W takim razie proponuję, żebyśmy spędzili większość tej nocy wspólnie. Czy byłaś kiedyś na balu?

- Nie - odpowiedziała cicho. - Przynajmniej na żadnym, który byłby choć trochę podobny do tego.

- Jestem zaskoczony.

- Doprawdy? Dlaczego?

- Pasujesz tu i zachowujesz się, jakbyś bywała wielokrotnie na takich balach.

- Nie bywam - ucięła.

- Nie jestem pewien. Masz piękną, modną suknię i ręcznie robione buty, które kosztowały zapewne miesięczną pensję przeciętnego obywatela. - Zauważył jej konsternację i zawahał się. - Czy mam kontynuować?

- Jeśli musisz.

- Weszłaś do pałacu, jakbyś była księżniczką Verdonii. Dumna.

Pewna siebie. To pozwala mi sądzić, że nawet jeśli nigdy nie byłaś na królewskim balu, masz dużo obycia w podobnych sytuacjach.

- To prawda - przyznała. Rozbudziła jego ciekawość.

- Ale to już należy do mojej przeszłości. Ta suknia - wygładziła dłońmi satynowe fałdy - te buty, nawet moje zaproszenie. To wszystko są prezenty. Gdybym ich nie otrzymała, nie byłoby mnie tutaj. Nie jest to styl życia, który wiodę na co dzień. I nigdy nie będzie.

Lander nie miał żadnych wątpliwości, że jakiś mężczyzna jest zamieszany w jej decyzję. Może była kochanką kogoś zamożnego? Zabawką dla bogacza posiadającego władzę. Każdy mężczyzna byłby zachwycony, mając taką kobietę u swego boku. Ta myśl rozwścieczyła go, budząc prymitywny instynkt posiadania, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, i musiał walczyć, by go powstrzymać. Czy to miało jakieś znaczenie z kim, czy też z iloma mężczyznami była? Teraz była w jego ramionach. I jeśli będzie miał trochę szczęścia, możliwe, że jeszcze tego wieczoru będzie ją miał w swojej sypialni.

- A więc zdecydowałaś się porzucić ten styl życia. - Dopytywał się dalej z nadzwyczajną delikatnością.

- Cóż... - Wychwycił cień drwiny. - To jest bal królewski. Która kobieta zrezygnowałaby z przeżycia takiej bajki?

Taniec się skończył. Julianna uwolniła się z jego objęć, zanim udało mu się ją przytrzymać.

- W takim razie pozwól mi, proszę, uczynić tę noc wyjątkową.

Mówiąc to, znów jej dotknął, wziął jej dłonie w swoje i zbliżył się do niej jeszcze bardziej. Całą swoją postawą mówił „jesteś moja”.

Przez ostatnie lata nauczył się, jak pokazywać ludziom, że pragnie prywatności, jak dawać subtelne sygnały, aby zachowali dystans. Najczęściej je rozpoznawali i podporządkowywali mu się.

Ta chwila to potwierdzała. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby jego podwładni unikali jakiegokolwiek ingerencji.

Miał nadzieję, że kobieta w jego ramionach nie zauważyła tej gry.

Bufet zorganizowany był w pomieszczeniu przylegającym do sali balowej. Nie było tłoku, dlatego Lander skierował się właśnie tam. Wziął jeden z delikatnych chińskich talerzy oznaczonych herbem rodziny Montgomerych i zapełnił go przekąskami. Zanurzył truskawkę w fontannie roztopionej czekolady i zaoferował ją Juliannie. Ku jego radości ugryzła kawałek truskawki, mając lekko przymknięte oczy i rozkoszując się bogactwem smaku ciemnej czekolady.

- Chodź. Znam zaciszne miejsce, gdzie możemy zjeść. Omijając stoły przykryte lnianymi obrusami, Lander

poprowadził Julianę do ogrodu rozciągającego się przy pałacu. Subtelna poświata rozświetlała zwirową drogę, drzewa i zarośla. Skreślił ostro w prawo, w niewidoczną wcześniej ścieżkę, którą łatwo było przeoczyć.

- Wygląda na to, że znasz to miejsce - zauważyła.

- Byłem tu już raz czy dwa.

Ścieżka kończyła się małą pergolą. Winorośl pięła się do góry, skapana w białym kwieciu róż. Ich wonny zapach wisiał ciężko w powietrzu, dojrzały i gotowy, by uczestniczyć w scenie uwodzenia. Lander

zerwał jedną z najbardziej okazałych róż i po usunięciu wszystkich kolców wsunął ją Juliannie za ucho. Jego dłoń prześlizgnęła się po jej policzku. Był zaskoczony miękkością i gładkością jej skóry.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie. W tej chwili nie ma żadnego. Tylko jedna rzecz ma.

Odrzucił na bok talerz, który trzymała w dłoniach. Przesunął dłońmi po jej nagich ramionach, zanurzył palce w kasztanowych lokach i przyciągnął ją do siebie. Poddała się z chęcią, unosząc ku niemu twarz. Nocny półmrok zamienił jej oczy w czarne. Delikatny uśmiech rozchylił jej usta i Lander zastanowił się, czy są tak miękkie jak jej skóra.

Jego młodszy brat, Merrick, był uważany, praktycznie od swoich narodzin, za najbardziej impulsywnego w rodzinie, podobnie jak ich przyrodnia siostra, Miri. Lander zawsze wybierał drogę dyscypliny. Był stabilny. Odpowiedzialny.

Jednak wystarczyło jedno spojrzenie na Julianę, aby wyzwoliła się w nim dzika żądza, nad którą nie miał kontroli. Nie dbał o to, że zbliżały się wybory w Verdonii. Nie dbał o to, że prasa trzymała go pod lupą. Ani nawet o to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa kobieta, którą trzyma w swoich ramionach, nie jest odpowiednia, by zostać jego żoną, a tym bardziej królową.

Pochylił głowę i musnął jej usta. Delikatnie. Jakby ich próbował. Wystarczająco, aby sprawdzić, jak smakują i jak są miękkie. W tej samej chwili przepadł. Wystarczyło, że poczuł to raz i był zgubiony. Wrócił do niej ustami, a jej dłonie krążyły po jego koszuli, powodując, że zastygł na chwilę w miejscu.



Ten pocałunek zmieniał się z każdym oddechem. Najpierw był szybki i niecierpliwy, nieodparcie słodki, a po chwili desperacko poszukujący nasycenia. Później wyrażał ciekawość, chęć odkrywania każdego detalu w drugiej osobie. Następnie stał się powolny i omdlewający. A potem coraz silniejszy, by znów się przemienić w burzliwy. Żądający. Pulsujący. Twardy i szaleńczy. Ograbił ich z wszystkich myśli.

Z każdą mijającą minutą jego potrzeba posiadania jej przeradzała się w nieuchronną pewność, że tak się stanie. Obawiał się, że kiedy Julianna odkryje, kim on naprawdę jest, będzie musiał za to zapłacić. Ale nie dbał o to. Była warta każdej ceny. Nie miały znaczenia przeszkody, które musi pokonać, nie miało znaczenia, kto stanie na jego drodze. Ta kobieta była jego i zamierzał ją zdobyć.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Była zgubiona. Całkowicie zgubiona.

Julianna łapczywie spijała pocałunki z jego ust, pewna, że gdyby tylko na środku polany stało łóżko, leżałaby na nim teraz bez namysłu, otwierając się na tego mężczyznę, oddając się komuś, kogo nie zna. Ta świadomość przeszywała ją na przemian dreszczem podniecenia i niedowierzania.

Jego ręce przesunęły się z jej włosów na ramiona, a potem niżej, wzdłuż nagich pleców. Chwycił ją za biodra, przyciągając tak blisko, aż jej ciało przylgnęło do jego. W myślach broniła się, krzyczała, lecz było to silniejsze od niej. Wszystko, co mogła z siebie wydobyć, to był jęk zachęty. Jego dłonie były duże i silne, a ona chciała poczuć je na sobie, dotykające jej w najbardziej intymny sposób, w jaki i ona pragnęła dotykać jego.

Niecierpliwie zerwała mu muchę. Perłowa spinka przy koszuli rozpadła się pod jej natarczywymi palcami. Wreszcie poczuła rozgrzane, muskularne ciało. Jej dłonie dotknęły jego torsu i napiętego brzucha.

Znalazł kryształowy guzik na jej karku i delikatnie go rozpiął. Zsunął z jej ramion małe rękawki, odsłaniając plecy. Przyglądał się jej pełnym piersiom pod gorsetem. Gdy ją obnażył do końca, oboje stali bez ruchu przez dłuższy czas. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był chrapliwy odgłos ich przyspieszonych oddechów. Księżyc oświecał nagie ciała, dając niesamowity, niezmierny blask. Woń róż przemieniała się w zapach pożądania.

- Boże, jakaś ty piękna - wyszeptał.

- Pragnę cię, choć to brzmi jak czyste szaleństwo - zaśmiała się nerwowo.

- Może to coś w powietrzu? Czy może raczej to przeznaczenie?

- Przeznaczenie? - Wzruszyła ramionami. Przyciągnął ją, śledząc opuszkami palców wypukłość jej

piersi, aż po brodawki. Jego twarz była napięta i zachłanna, przepełniona determinacją.

Po dwukrotnej próbie udało jej się w końcu wydobyć z siebie głos.

- Nawet nie znam twojego imienia.

Ten prosty fakt był dla obojga zarówno ekscytujący, jak i oszałamiający.

- Wiem. - Jego ręka objęła jej pierś. Nachylił się, delikatnie ją całując, wywołując kolejny bezradny jęk. - To jest wszystko, co się liczy.

Była rozdarta pomiędzy rozsądkiem a namiętnością. Pragnęła tego mężczyzny, pragnęła jego dotyku, jego pocałunków, jego ciała. Nie miało znaczenia, że poznała go zaledwie godzinę temu. Wystarczyło jedno spojrzenie, jeden dotyk, a była gotowa odstąpić od tego, co uznawała za dobre i wartościowe, w co gorąco wierzyła.

Nigdy wcześniej nie zrobiła niczego podobnego ani tak desperacko nikogo nie pragnęła. Nawet będąc ze Stewartem, który ostatecznie ją zdradził. Ten jeden mężczyzna, właśnie w tym momencie, zawładnął każdą jej myślą i ruchem.

- Nie możemy tu tego robić. - Czowała, że musi zaprotestować. - Ktoś mógłby nas zauważyć.

- Mamy więc dwie możliwości. Możemy na tym poprzestać lub przenieść się gdzie indziej - zasugerował wprost. - Jak wolisz?

Dawał jej wybór: możliwość wycofania się, kiedy jeszcze był na to czas. Lecz ona już podjęła decyzję. Uniosła ramiona i opłótła nimi jego szyję. Znalazła jego usta i utonęła w pocałunku, poddając się bez wypowiedzenia żadnego słowa. To było cudowne. Rozkoszne. Niemożliwe do porównania z czymkolwiek. Jeśli to był sen, miała nadzieję nigdy się nie obudzić. Jego ramiona oferowały świat, którego nigdy nie знаła i który był jedynym, jakiego pragnęła. Świat namiętności i uwodzenia. Czuła się bardzo szczęśliwa.

Złożyła ostatni pocałunek na jego wargach.

- Chciałabym pójść w inne miejsce - szepnęła, odpowiadając na jego pytanie.

Była zaskoczona prostotą i łatwością swej odpowiedzi. Jakże dobrze, swobodnie i niezmiernie wolna się czuła, mówiąc te słowa.

Z okrzykiem triumfu wziął ją w ramiona. Śmiała się z niego. Porywał ją do czarodziejskiego zamku i miał wobec niej nieczne zamiary. Nagle usłyszeli odgłos chrząknięcia dobiegający ze skraju zagajnika. Jej księżę błyskawicznie ukrył się w cień, odwracając się plecami do tego, kto im towarzyszył. Pomógł jej wciągnąć suknię.

- Czyżby zła pora, Lander? - padło pytanie rzucone rozbawionym głosem.

- Do diabła, John. Dwie minuty i już by nas tu nie było. Julianna zamarła. Nie. Proszę, nie. To nie może być prawda. Jedno szybkie spojrzenie potwierdziło jej najgorsze obawy. Dała sobie kilka cennych sekund, by złapać oddech i zebrać resztki odwagi. John zwrócił się do jej mężczyzny Lander. Dlaczego to imię rozbrzmiało niczym dzwonek

ostrzegawczy w jej zamglonym umyśle? Wkroczyła w oświetlone przez księżyc pasmo.

- Witaj, John - przywitała brata.

- Julianna? - wypowiedział jej imię z niedowierzaniem. Lander przeskakiwał wzrokiem z jednego na drugie, jego oczy się zwięzły.

- Znacie się?

- Pracuję dla Aniołów Arnauda - odpowiedziała spokojnie, rzucając bratu znaczące spojrzenie, które miało być ostrzeżeniem, by nie wyjawiał, jakie więzy ich łączą. Poczwała ulgę, gdy kiwnął subtelnie głową, dając znać, że rozumie. - Nie miałam pojęcia, że pan Arnaud będzie tutaj.

- Nie - burknął John z niechęcią. - Faktycznie nie wiedziałaś.

- Proszę mi wybaczyć... Lander, prawda? - Znała to imię. Skąd mogła je znać? Gdyby tylko mogła skupić myśli.

- Zostawiam patioń z ich sprawami. John uniósł brew.

- Nie bądź niegrzeczna, moja droga. Jako osoba reprezentująca Anioły Arnauda jesteś winna Jego Wysokości więcej szacunku. A poza tym on jest gospodarzem.

Lander próbował coś powiedzieć, jednak czuł się zbyt paskudnie. Zapadła cisza. Julianna znieruchomiała.

- O czym ty mówisz? - zapytała, choć głęboko w środku znała już odpowiedź. Jego imię brzmiało znajomo i może gdyby nie była tak upojona pocałunkami, rozpoznałaby je szybciej.

John parsknął śmiechem, nie dowierzając.

- Nie zorientowałaś się? Mężczyzna, którego całowałaś, to księżę Lander. Czy raczej, sprecyzujmy, księżę Lander Montgomery, księżę Verdonii, Lew Roche.

O nie! To nie mogła być prawda. Jak los mógł splatać jej takiego figła, rzucając ją w ramiona tego jedyne go mężczyzny, którego chciała uniknąć? I dlaczego nie zorientowała się wcześniej? Jak to było możliwe, że kiedy pierwszy raz w życiu straciła kontrolę, wybrała właśnie jego? W konkursie dla ignorantów i głupców zdobyła najwyższą nagrodę i to w obu kategoriach.

Uniosła brodę i spojrzała na księcia Landera z resztką godności.

- Jakie to zabawne - zaczęła tonem niezdradzającym niczego poza ubawieniem. Oddała głęboki, formalny ukłon w jego stronę. - Jestem zaszczycona, że mogłam dostarczyć Waszej Wysokości rozrywki tego wieczoru.

- To nie było tak, wiesz o tym.

Usłyszała rozczarowanie kryjące się za, jego słowami, ale nie przejęła się tym. Ukrywał swoją tożsamość, pomimo że wyraziła się jasno, że nie jest zainteresowana spotkaniem z księciem Landerem. Może zachował milczenie, ponieważ go ostrzegła, że uciekłyby, gdyby spotkała kogoś ważnego. Ujawniłby swoje imię, gdyby wiedział, że dzięki temu szybciej zaciągnie ją do łóżka.

Szybciej? Prawie jęknęła na głos. Jak mógł działać szybciej? Zajęło mu zaledwie godzinę zwalenie jej z nóg, w dodatku bez jakiegokolwiek użycia swojej pozycji. Cicho przeprosiła i mijając brata, udała się z powrotem do pałacu. Schowała się w cieniu, poza strumieniem światła płynącym z sali balowej, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

Jak mogła być taką idiotką? Jak mogła pozwolić mężczyźnie - nawet jeśli był księciem - ograbić się ze wszystkich rozsądnych myśli? Ale od pierwszego momentu, kiedy go ujrzała, była totalnie zgubiona, otwarta na

pójście z nim, gdziekolwiek zażąda. Zrobiłaby wszystko, cokolwiek by chciał. Przytłaczała ją ta świadomość. Nigdy jeszcze nie pozwoliła mężczyźnie tak sobą zawładnąć. I teraz, w ciągu zaledwie niespełna godziny, księżę Lander nie tylko zdobył kontrolę nad nią, lecz dostał ją bez jednego słowa protestu z jej strony. Czy przeszłość niczego jej nie nauczyła? Najwyraźniej nie.

Biorąc głęboki oddech, wstąpiła na salę pełną światła. Starając się poruszać swobodnie, podążała w kierunku najbliższego wyjścia. Zanim zdołała ująć kilka kroków, na ramieniu poczuła czyjąś rękę.

- Jestem pewien, że nie miałaś zamiaru wyjść bez zatańczenia ze mną - oznajmił John. Nie dając jej szansy na odmówienie, pociągnął ją na parkiet.

- A więc powiedz mi, co taka miła dziewczyna jak ty robi w pałacu takim jak ten?

- Och, dobre sobie. Bardziej interesującym pytaniem jest, co ty tutaj robisz - odparowała Julianna wściekłym półszepem.

- Chciałem się z tobą spotkać.

Swobodny i niewzruszony. Typowe dla niego. Wiedziała, że za pozą grzecznego chłopca kryje się błyskotliwy, twardy biznesmen. Jakikolwiek miał powód, by tutaj być, z pewnością był to interes.

- Przebyłeś długą drogę do Verdonii tylko po to, by się ze mną zobaczyć? Spróbuj jeszcze raz, starszy bracie.

- Może powinienem zapytać, co ty robisz z księciem Landerem.

Jak zwykle z irytującą łatwością odbił piłeczkę. Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Nie wiedziałam, że to księżę.

-I nigdy z nim nie byłaś?

Nienawidziła tej delikatnej rozwagi w głosie Johna prawie tak mocno, jak nienawidziła jego pytania.

- Nie, nigdy.

- To dobrze. - Odetchnął z ulgą. - Nie chciałbym, żeby moja siostra miała cokolwiek wspólnego z Montgomerym.

Gwałtownie podniosła głowę i uważnie spojrzała na niego.

- Dlaczego?

- Nieważne.

Twarz Johna wykrzywił grymas wyrażający zniecierpliwienie, wymuszając porzucenie tematu. To była niezwykła twarz, szczupła i jasna, z robiącym wrażenie układem kostnym, typowym dla ich przodków Komanczów. Czarne oczy, czarne włosy i, jak niektórzy to nazywali, czarne serce będące ukoronowaniem całości. Ona wiedziała, że John był najmiłszym, najbardziej wielkodusznym mężczyzną na świecie. Dopóki mu się nie sprzeciwiano.

- Wyjaśnij mi coś, Anno.

- Julianno - poprawiła go. - Nie używam już tamtego skrótu.

- Nie chciałaś, by wiedział, kim jesteś? Jakie ma znaczenie, czy mu powiem, że jesteś Julianną Rose Arnaud, moją siostrą, czy raczej Julianną Rose, pracownicą organizacji dobroczynnej? Nie spotkasz się z nim więcej. - Poczekał chwilę, nim zapytał z naciskiem: - Prawda?

- Nie - odpowiedziała.

Głęboka bruzda pojawiła się z jednej strony jego ust.

- Dlatego, że jesteś moją siostrą, tak? Dlatego używasz obecnie dwóch pierwszych imion? Ponieważ obawiasz się, że przyciągniesz



uwagę, jeśli ktokolwiek się dowie, że jesteś Anną Arnaud, siostrą nikczemnego Johna Arnauda.

Łzy napływały jej do oczu, lecz je powstrzymała, nim podniosła na niego wzrok, modląc się, by nic nie zauważył. Podniosła rękę do jego policzka.

- To nie jest tak. Wiesz, że cię kocham. Jestem dumna z tego, że jestem twoją siostrą.

- Więc co cię powstrzymało przed powiedzeniem mu prawdy?  
Chłód pytania wywołał dreszcz i ból w jej sercu.

- Nie powiedziałam nikomu. Chcę się skupić na pracy charytatywnej, a nie na sobie. Teraz, kiedy już wiem, że Lander jest księciem, to jest najważniejsze. On jest osobą publiczną. Jeśli media wywęszą naszą znajomość, nie dadzą nam spokoju. Nie zniosę tego. Już nie. Nigdy. Rozumiesz? Nie chodzi tylko o to, co mi się może przydarzyć. To nie w porządku rzucać księcia Landera na pożarcie wilkom, bez żadnego ostrzeżenia.

- I to jest jedyna przyczyna? Bo jeśli tak, to zajmę się mediami.

Zmartwiło ją jego twarde spojrzenie. To był kolejny powód, dla którego nie mogła być z księciem Landerem. Rozwścieczyłaby tylko brata.

- Przyjechałam do Verdonii, żeby uciec od skandalu, a nie wzbudzać większy. Poza tym wcale nie jestem zainteresowana księciem Landerem,

- Kłamczucha - prychnął. - Mogę się nie wtrącać, ale jeśli myślisz o nim poważnie, załatwię sprawę - zaoferował niechętnie, - Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś się trzymała od niego z daleka.

- To, co widziałeś w ogrodzie, to tylko niewinna zabawa. Nic znaczącego. I nie zamierzam przebywać zbyt długo w Verdonii. Najwyżej kilka tygodni.

Czy John usłyszał rozpacz w jej głosie? Prawdopodobnie tak. Jej brat posiadał tak samo świetną umiejętność rozszyfrowywania ludzi co zarabiania pieniędzy. Nie miała wątpliwości, że nie mógłby zgromadzić fortuny, nie mając obu tych umiejętności.

- Jutro zajmę się pracą, a dzisiejszy incydent będzie tylko wspomnieniem. To była nic nieznacząca przerwa w obowiązkach.

- A Montgomery? Wzięła głęboki oddech.

- Jeśli nie chcesz, żebym się z nim jeszcze kiedykolwiek spotkała, nie spotkam się. - Wypowiedziawszy te słowa, poczuła nagłe ukłucie bólu.

- Montgomery to silny mężczyzna. Jeśli będzie tego chciał, to cię znajdzie.

Przecząco pokręciła głową.

- Nie będzie tracił czasu na próby. Ostatecznie to był tylko jeden taniec.

-I jeden pocałunek - dodał John. - Nic wielkiego.

- Dokładnie tak. - Drgnęła, powoli zmieniając temat. - Chyba powinnam ci podziękować za zaproszenie na bal i za tę suknię.

- Biorąc pod uwagę, jak ciężko pracujesz, zasłużyłaś na to - odpowiedział. - Wydawało mi się właściwe przysłanie ci odpowiedniej sukni i butów. Założę się, że nie przywiozłaś strojów balowych.

- Zgadłeś. Przyjechałam tu do pracy, a nie żeby się bawić.

- Raporty, które mi przesłałaś, są świetne.

- Dziękuję. - Ta ocena schlebiała jej, zwłaszcza że John nie był skory do udzielania pochwał. - Dziękuję za dzisiejszy wieczór.

Nachylił się i pocałował ją w czoło.

- Bardzo proszę. Nie sądzę, abyś była gotowa wracać teraz do domu.

- Dom? - Zajęło jej chwilę, zanim złapała sens jego wypowiedzi. -

Och, masz na myśli Stany?

- Oczywiście - odpowiedział rozbawiony i jednocześnie zniecierpliwiony. - Kochanie, wykonujesz tutaj kawał dobrej roboty. Jednak potrzebuję cię w Dallas. Jesteś moim najlepszym pracownikiem.

- Byłam - podkreśliła. - Byłam twoją najlepszą pracownicą. Teraz jestem w europejskim oddziale Aniołów Arnauda.

- W mojej ocenie marnujesz swój talent. Zacisnęła usta.

- Nie zgodzę się z tobą. Dzieci mnie potrzebują.

- To raczej ty potrzebujesz dzieci - odparł.

- Nie wracam do Dallas.

- To nie musi być Dallas, jeśli nie chcesz. Możesz pracować w innym mieście.

- Odpowiada mi praca, którą obecnie wykonuję. Biorąc pod uwagę, ile jest do zrobienia w Europie, może nigdy nie wrócę do domu.

Zacisnął dłoń na jej ramieniu.

-John, pozwól mi żyć moim własnym życiem. Mogę dalej wykonywać swoje obowiązki dla Aniołów albo złożę ofertę do innych organizacji charytatywnych. Ku jej zaskoczeniu nie kontynuował tematu.

- Dobrze, dobrze. Jeżeli chcesz, zostań w Verdonii. Do diabła, zostań gdziekolwiek chcesz w Europie. - Zmarszczył czoło. - Tak długo, jak długo będziesz daleko od Montgomeryego, mogę to zaakceptować.

Lander stał z boku, obserwując Julianę i Johna tańczących i intymnie rozmawiających. Niech to diabli... Czuł, jakby wrócił do Harvardu. Z jakiejś przyczyny znowu ze sobą współzawodniczyli. Na boisku. W klasie. Ich największe bitwy dotyczyły kobiet. Po kilku latach Lander nie chciał żadnej kobiety, z którą był Arnaud i wzajemnie.

Taniec się skończył. Ale John nie wypuścił swojej partnerki z ramion. Rozmawiali dalej ściszym głosem. Po chwili John pochylił się i pocałował ją, tym razem w policzek. Wiele wysiłku kosztowało Landera powstrzymanie się przed wymierzeniem Johnowi ciosu prosto w nos. Gdyby ten pocałunek wylądował bliżej jej ust, niechybnie skończyłoby się bójką.

John i Julianna zaczęli się rozchodzić, jednak tłum gości zasłonił Landerowi cały widok. Po chwili, kiedy ludzie się odsunęli, Lander ujrzał samego już Johna, który skinął głową i podszedł do niego.

- Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

- Gdzie ona jest?

- Wyszła.

- Czy to jest twoja kobieta?

W spojrzeniu Johna pojawiły się groźne błyski.

- Julianna nie należy do żadnego mężczyzny. Ani do mnie, ani już na pewno nie do ciebie. Ani teraz, ani nigdy - warknął John.

Nigdy? To się jeszcze okaże, pomyślał Lander i powiedział:

- Jeśli nie jest twoja, chcę wiedzieć, jak ją znaleźć.

- Czy nie słyszałeś, co powiedziałem?

- Słyszałem. Mówisz, że jest niedostępna, czy tak? Po chwili ciszy

John zapytał:

- Czy jest dla ciebie aż tak ważna?

-Tak.

W Johnie obudził się zmysł biznesmena. Zastanawiał się, jak może wykorzystać tę sytuacją dla własnych celów.

- Świetnie. Ale czy nie masz ważniejszych spraw do załatwienia od szukania nowo poznanej dziewczyny? Czy to nie dlatego dzwoniłeś do mnie?

Bez słowa Lander zaprowadził Johna do swojego biura. Był to ogromny pokój z weneckimi oknami usytuowanymi tak, że każdego dnia mógł podziwiać wschód słońca. Część okien wychodziła na frontową część pałacu. Kiedy spojrzał na podjazd, dostrzegł srebrną suknię znikającą w taksówce.

Wiele wysiłku kosztowało go ponowne skoncentrowanie się na sprawach wagi państwowej. Odwrócił się twarzą do Johna Arnauda.

- Kiedy odbędzie się twoja koronacja? - zapytał John.

- Za dwa miesiące - Lander wzruszył ramionami - lub nigdy.

- Nigdy? - John zmarszczył brwi. - Nie rozumiem. Czy twój ojciec nie był królem? Rozumiem, że kiedy umarł, korona należy do ciebie. Czy nie tak to działa?

Lander pokręcił głową.

- W prawdziwej monarchii tak być powinno. Ale w Verdonii jest trochę inaczej. Mamy powszechne wybory.

- Ty i twój brat walczyście o tron?

- Jako że Merrick jest drugim synem, nie może kandydować. Jedynie najstarsi książęta z każdego księstwa w Verdonii są prawnymi kandydatami do tronu.

- Kto zatem jest twoim przeciwnikiem? - John wskazał na mapę Verdonii, na najdalej na południe wysunięte księstwo. - Ty reprezentujesz Księstwo Verdon.

Lander zbliżył się do Johna i pokazał na obszar leżący najdalej na północy.

- Książę Brandt von Folke kandyduje z Księstwa Avernos.

John zakreślił palcem obszar leżący pomiędzy północą a południem.

- A ten pośrodku? Celestia, prawda?

- Tam nie ma nikogo uprawnionego do kandydowania. Trzeba mieć skończone dwadzieścia pięć lat, by rządzić Verdonią, a księżniczka Alyssa nie skończy tyłu do wyborów. Jest żoną mojego brata. Pobrali się kilka dni temu.

- Dla celów politycznych?

Lander przytaknął.

- Na to wygląda. Miała poślubić Brandta, ale Merrick zainterweniował.

- Dlaczego Merrick zainter... - John przerwał. - Ach, rozumiem. Gdyby Alyssa poślubiła Brandta, zjednoczyliby oba księstwa, Avernos i Celestię. Czy to nie dałoby przewagi głosów księciu Brandtowi?

- Przebiegły jak zwykle - skomentował Lander. Z niechęcią przyznał, że talent Johna w docieraniu do sedna sprawy i umiejętność analizowania sytuacji zawsze mu imponowały. - Faktycznie Brandt mógłby wygrać wybory, gdyby Merrick nie wkroczył. Porwał Alyssę i ożenił się z nią.

- Cóż za śmiałość. - John parsknął śmiechem.

- Czy zrobiłby to, gdyby się w niej nie zakochał? - zapytał Lander.

- Nie wiem. - Wyraz twarzy Johna zmienił się znacząco. - Jesteś pewien, że zapewnił ci wygraną? Brzmi to niezwykle przekonująco.

Lander poczuł ukłucie złości.

- Jeśli zobaczysz ich razem, przekonasz się, jak bardzo są szczęśliwi. John zbliżył się do biurka i sięgnął po oryginalne hawańskie cygaro.

- Okej, skoro wprowadziłeś mnie już w tajniki sytuacji politycznej, czy możesz mi teraz wyjaśnić, co ja tutaj robię? Zgaduję, że istnieje jakiś ważny powód, inaczej nie narażałbyś naszej... przyjaźni.

- Potrzebuję twojej pomocy. Verdonia ma kłopoty.

- Rozumiem, że chodzi o problemy finansowe. Podejrzewam, że oczekujesz spłacenia prawie zapomnianego już długu z czasów college'u?

- Przyjmę twoją pomoc, pod warunkiem, że będzie szczerą.

John zgasił cygaro. W jego oczach czaiła się złość.

- Masz niezły tupet - rzucił ostrym tonem. - Mój ojciec zachował się podle. Odmówił dania nazwiska swoim nieślubnym dzieciom. Ale ja nie jestem i nigdy nie będę taki jak on. Robię tylko uczciwe interesy i jeśli mnie sprawdzisz, a jestem pewien, że to zrobisz, wiesz o tym doskonale.

Lander podniósł głowę.

- I dlatego rozmawiamy. Powiedz mi, Arnaud, ile biznesów udało ci się uratować przed bankructwem?

- Zbyt wiele, żeby liczyć.

- Teraz Verdonia jest takim tonącym statkiem. Potrzebuję twoich umiejętności, żeby uratować moje państwo przed utonięciem. - Byłoby miło, gdyby Arnaud ulokował w Verdonii kilka swoich firm.

John ponownie odpalił cygaro, zanim odparł:

- Jeżeli istnieją takie pieniądze, które mogą pomóc, pomogę ci.  
Jednak chcę zawrzeć szczegółowy kontrakt, zanim zainwestuję złamanego centa.

- Doskonale. Najpierw porozmawiajmy o pieniądzach. - Lander otworzył karafkę i nalał podwójną whisky do kryształowych szklanek. Jedną podał Johnowi, mówiąc: -A potem o kobiecie.

RS



## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Julianna tuliła Harvera w ramionach, rozmawiając spokojnie z mamą niemowlaka. Chłopiec urodzony z rozszczepionym podniebieniem stał się kolejnym podopiecznym Aniołów Arnauda. Lekarze byli gotowi do przeprowadzenia operacji, czekali tylko na zgodę rodziców.

Matka, choć pełna obaw, była przychylna. Ojciec, pomimo wyczerpujących wyjaśnień, wciąż był nieufny. Pomógł fakt, że chirurg, który był rodowitym Verdonianinem, spokojnym głosem rozwiewał wątpliwości. W końcu rodzice podpisali odpowiednie formularze i Harver został zanieiony na badania przygotowujące do operacji.

Julianna schowała swoje dokumenty do teczki, życząc rodzicom wszystkiego dobrego. Jak zwykle, kiedy wypełniła zadanie, odczuwała ekscytację, wiedząc, że kolejne dziecko przejdzie zabieg odmieniający jego życie. Jak John mógł porównywać pracę za biurkiem z tym, co robiła teraz?

Wyszła ze szpitala, a wzniosłe uczucia dodawały jej krokom lekkości. Szła w kierunku pobliskiego postoju taksówek. Delikatny wiatr potargał jej włosy, uwalniając kilka loków z upiętego na szyi koka. Po chwili czarna limuzyna zatrzymała się tuż koło niej. Przeczowała, kto jest w środku, zanim otworzyły się drzwi, ukazując księcia Landera.

Była przerażona. Więc ją odnalazł. Nie powinna się dziwić. To musiało się wydarzyć. Jej dłonie ścisnęły mocniej teczkę. Uniosła głowę.

- Wasza Wysokość.

- Proszę wsiąść, panno Rose. Musimy porozmawiać. To, że był księciem, nie oznaczało, że musi z nim jechać.

Wystarczająco się ośmieszyła poprzedniego wieczoru. Nie musiała tego pogarszać.

- Nie, dziękuję. Myślę, że wszystko zostało powiedziane wczorajszej nocy.

- Być może - odpowiedział i zawiesił na chwilę głos - ale nie zrobiliśmy wszystkiego, co planowaliśmy, nieprawdaż?

Starła się powstrzymać rumieniec oblewający jej policzki.

- Na szczęście. A teraz, jeśli pan wybaczy...

- Nigdzie się stąd nie ruszę i ty też nie. - Na jego twarzy widać było determinację. Wiedziała, że nie zrezygnuje.

- Wsiądziesz, czy mam zwrócić uwagę wszystkich, jadąc za tobą?

Nie mógł znaleźć lepszego sposobu, by ją przekonać. Wsiadła, stawiając między nimi swoją teczkę.

- W porządku. Mów. - Przymknęła oczy, starając się opanować. - Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, jeśli to zabrzmiało niegrzecznie. W czym Anioł Arnauda może pomóc?

- Dobrze wiesz, że jestem zainteresowany tobą, a nie twoją pracą - odparował.

- Tak jest. Wyjaśniłeś to ostatniej nocy. Nie mieliśmy możliwości, by zakończyć tamtą konwersację. Pozwól, że zrobię to teraz.

Z trudem odwróciła się do niego i rzuciła mu najzimniejsze spojrzenie, na jakie ją było stać. Pomyliła się jednak. Chociaż z matematyczną dokładnością zaplanowała, co mu powie, to wystarczyło jedno jego spojrzenie, aby wszystko uleciało jej z głowy. Zbita z tropu mogła się tylko w niego wpatrywać.

- Świetnie. Skończ. - rzucił.

- Właśnie zamierzam to zrobić. - Zaciśnęła usta.

Jej zagubienie musiało być widoczne. Stłumiony, nerwowy śmiech wyrwał się z jego piersi.

- A niech mnie, kobieto. Czyż nie działamy na siebie w szczególny sposób?

Jego śmiech okazał się zaraźliwy. Potrząsnęła głową rozbawiona.

- Co mam z tobą zrobić, Wasza Wysokość?

- Cokolwiek zechcesz. Tylko mów do mnie Lander.

- Dziękuję. - Nagle spojrzała na niego podejrzliwie. - Jak mnie odnalazłeś? John?

- Nie. Odmówił pomocy.

Śmiech rozładował napięcie na tyle, by mogła na nowo zebrać myśli.

- Przypomniałam sobie, co chciałam powiedzieć.

- Coś o końcu - z uśmiechem zaoferował swoją pomoc.

- O zakończeniu spraw między nami.

- Doskonale. Każę kierowcy podrzucić nas do pałacu i będziemy mogli zakończyć to, co rozpoczęliśmy wczoraj.

Walczyła, żeby powstrzymać ponowny wybuch śmiechu. Nie chciała dać mu się oczarować. A jednak była oczarowana. Całkowicie.

Rozbawiona, a jednocześnie wypełniona niesamowitą tęsknotą. Musiała to natychmiast zakończyć.

- Miałam na myśli prawdziwy koniec. Zakończenie naszej znajomości - wyjaśniła.

- Dlaczego?

- Ostatniej nocy... To nie powinno się było wydarzyć.

- Ale się wydarzyło. Pragnęłaś mnie. Nie możesz się tego wyprzeć.

Szczerłość przyszła jej z trudem.

- Nie zaprzeczam. Chciałabym winić światło księżyca lub zbyt dużą ilość drinków.

- Nie było wczoraj pełni i w ogóle nie piłaś alkoholu.

- Nie, nie piłam. Ponoszę pełną odpowiedzialność za to, co się stało.

- Szlachetnie, ale niepotrzebnie. - Ironia zabrzmiała w tych słowach.

- O ile pamiętam, nie byłaś sama w tym ogrodzie.

- Ale pozwoliłam na to.

Przypatrywał jej się uważnie, sprawiając, że znów straciła głowę.

- Czujesz się winna z powodu Johna? Spojrzała z niedowierzaniem.

- Johna? Co on ma z tym wspólnego?

- Gdy zapraszałem go na bal, poprosił o dwa zaproszenia. Domyślam się, że drugie było dla ciebie. I zgaduję również, że miał coś wspólnego z zaprojektowaniem twojej sukni. Czyż nie powiedziałaś mi, że była prezentem?

Nie wiedział. Poczła ulgę. Zakładał, że ona i John byli kochankami. Brat obiecał jej, że nie powie Landerowi, co ich łączy, ale bała się, że książę sam odgadnie prawdę. Przytaknęła.

- John zorganizował zaproszenie i strój wieczorowy.

- To przez niego pragniesz zakończyć naszą znajomość? Czy jesteście razem?

- Nie w sposób, o jakim myślisz. Jego oczy się zwięzły.

- W takim razie może być tylko jedna przyczyna. To z powodu tego, kim jestem?

- Tak - odpowiedziała, nie mogąc wytrzymać jego natarczywego spojrzenia.

- Aha. - Mogła wręcz usłyszeć frustrację w tym jednym, krótkim wyrazie. - Jesteś zatem jedyną kobietą, jaką znam, która nie chce mieć ze mną nic wspólnego, odkąd wie, kim jestem.

- Traktuj to jak komplement - zażartowała.

- Wyjaśnij mi to.

Zmusiła się, by na niego spojrzeć i być tak szczerą, jak to możliwe. Zasługiwał na to.

- Nie lubię życia w świetle reflektorów. Bycie z tobą, nawet przez krótki czas, właśnie to by oznaczało.

- Byłaś już w takiej sytuacji? - Tak.

- Z Johnem.

To nie było pytanie. Nie prosił o potwierdzenie, więc nie odpowiedziała. Zamiast tego wyciągnęła rękę do drzwi.

- Czy mogę już iść, Wasza Wysokość?

Niecierpliwie potrząsnął głową.

- Zabiorę cię do domu. - Zanim zdążyła zaprotestować, dał znak kierowcy i poinstruował go: - Apartamenty Samson.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam? Tylko się uśmiechnął.

- Czemu ja pytam? Jesteś księciem Verdonu. Domyślam się, że wystarczy machnąć królewskim berłem i każdy rozkaz jest spełniony.

- Gdyby to była prawda, nie odbywalibyśmy tej rozmowy.

Bylibyśmy oboje w mojej pałacowej komnacie, a ty zdołałabyś moje łóżko.

Nie odezwała się. Odwróciła głowę i patrzyła przez okno. Jechali przez miasto w absolutnym milczeniu. Wkrótce zatrzymali się przed jej domem.

- Zgaduję, że czas się pożegnać - rzuciła, sięgając do klamki.

- Tak - na moment wstrzymał oddech - jeśli tego naprawdę chcesz.

- Ustaliliśmy to już.

- Możesz odejść. - Przysunął się bliżej i położył rękę na jej dłoni, zapobiegając ucieczce. Mruczał uwodzicielsko do jej ucha. - Możesz wysiąść teraz i już nigdy więcej się nie spotkamy. Lub możesz zostać. Przemyśl to. Możemy spędzić razem jedną noc, zanim nasze drogi się rozejdą na zawsze. Nikt nie musi wiedzieć. Żadnych mediów, żadnych reflektorów. Mogę to zorganizować. Tylko ty i ja. Tylko jedna noc, Julianno.

Jedna noc. Te podstępne słowa brzmiały kusząco. Noc, której nigdy nie zapomni. Spędzona w ramionach tego, którego Zapragnęła. Nigdy sobie nie pozwoliła na podążanie za pierwotnymi instynktami. Po raz pierwszy tego chciała.

- Przestań - wyszeptała.

- Ponieważ nie jesteś zainteresowana moją ofertą? Potrząsnęła głową.

- Ponieważ jestem.

Delikatnie przesunął lok jej włosów za ucho, usta pospieszyły śladem palców.

- Czemu się zatem opierasz?

Stłumiła jęk. To było doskonałe pytanie. Czemu się opierała? Była daleko od domu. Nikt nie znał jej prawdziwej tożsamości. Nikt nie wiedział o różnych skandalach z jej przeszłości. Całe życie była uważna, kontrolująca każdy swój krok. Nawet to nie ustrzegło jej od zawirowań. Teraz pojawiała się okazja, która więcej się nie powtórzy. Szansa, by

zrobić to, czego pragnęła. Poczowała pożądanie i pokusę, by pójść za jego głosem.

- Jeśli cię posłucham - zaczęła z wahaniem - czego będziesz ode mnie oczekiwał? Dokąd pojedziemy?

- Nie oczekuję niczego więcej, niż sama jesteś gotowa ofiarować. Możemy się udać, dokąd tylko zapragniesz.

Zdjął jej dłoń z klamki i ich palce się splotły. Pozwoliła na to, zdając sobie sprawę, że właśnie decyduje się na szalony krok.

- Czy możemy pojechać w jakieś inne miejsce niż twój pałac? - spytała.

Skinął głową twierdząco. Powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Daj mi chwilkę na zorganizowanie wszystkiego.

Została w samochodzie sama. Gdy go nie było, siedziała pogrążona w głębokim niedowierzaniu. Co ona najlepszego zrobiła? Jak mogła się zgodzić na kolejne spotkanie, wiedząc o potencjalnych konsekwencjach? Ostatniej nocy mogła winić księżyc lub róże, lub swoją desperacką wiarę w bajki. Ale dzisiaj, w jasnym świetle czerwcowego dnia, nie mogła się dłużej okłamywać. Właśnie się zgodziła spędzić noc z Landerem.

Zacisnęła usta. I co z tego? Dlaczego nie mieliby spędzić wspaniałej nocy przed powrotem do realnego życia? Odłoży na bok wszystkie obawy i niepokoje i weźmie w swoje ręce to, co hojnie oferowało przeznaczenie. A jutro? Podniosła bojowo podbródek do góry. Jutro będzie się tym martwić.

Kilka minut później Lander wrócił do limuzyny.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Idealnym.

- Obawiałem się, że gdy zostawię cię samą, przemyślisz wszystko.
- Och, przemyślałam to jeszcze raz i drugi.
- Ciągle tu jesteś.
- Tak. Jestem. - Uśmiechnęła się blado.

W odpowiedzi uniósł jej podbródek i złożył na jej ustach słodki pocałunek.

Była ciekawa, co się wydarzy, czy zareaguje w ten sam sposób co poprzednio. Ku jej przerażeniu okazało się, że jest zupełnie inaczej.

Ostatniej nocy czuła się zagubiona. Całkowicie i krańcowo zagubiona. To było jak odkrywanie wspaniałego, prywatnego świata wypełnionego pięknem dźwięków, smaków i odczuć. Była zaintrygowana tym, co odkryje. Wczoraj niepewnie wkraczała w ten świat.

Dziś on eksplodował wokół niej, wszystko było bardziej intensywne, bardziej spektakularne, bardziej widowiskowe. Lander niechętnie ją uwolnił.

- Chyba mamy poważne kłopoty. Zdajesz sobie z tego sprawę?
- Poradzimy sobie - nalegała, mając nadzieję, że nie usłyszał desperacji w jej głosie. - Jedna noc to wszystko, co możemy mieć. Potem nasze drogi rozejdą się na zawsze.

- Do diabła, kobieto. Z trudem możemy znieść prosty pocałunek. Myślisz, że będziemy w stanie rozstać się po tym, jak będziemy się kochać?

- Obiecałeś!

Błysk gniewu pojawił się w jego oczach.

- Zawsze dotrzymuję danego słowa i nie mam zamiaru złamać go teraz, niezależnie od tego, jak bardzo miałbym ochotę.



Musiała ją to usatysfakcjonować.

- Gdzie jedziemy? - spytała, chcąc zmienić temat.

- Mam apartament na peryferiach miasta. To bezpieczna lokalizacja.

Przy odrobinie szczęścia nikt nas tam nie odkryje.

Poczuła ulgę. Limuzyna wjechała do opustoszałego podziemnego garażu. Wysiedli przed drzwiami prywatnej windy, po czym samochód odjechał. W niespełna dwie minuty byli na górze i weszli do apartamentu.

- Jak tu pięknie - wyszeptała Julianna, próbując ukryć zażenowanie.

- Rozejrzyj się, jeśli chcesz.

Przeszła do dużego salonu o dwóch szklanych ścianach, przez które widać było panoramę miasta. Następnie odnalazła jadalnię z przylegającą do niej małą kuchnią. Lander nie szedł za nią, pozostał w holu, śledząc ją cały czas wzrokiem. Wróciwszy do punktu wyjścia, spojrzała w stronę drugiej części apartamentu.

- Nie - odezwał się Lander.

- Co nie? - spytała zaskoczona.

- To sypialnia. Jesteś zaproszona do zwiedzenia jej -przechylił głowę

- ale jakoś nie wydaje mi się, żebyś była na to gotowa.

Położyła ręce na biodrach.

- To takie oczywiste?

- Nie jesteś gotowa na nic z tych rzeczy - powiedział, zbliżając się. -

Odwiózłbym cię do domu, gdybym był mniejszym egoistą. Jednak za bardzo cię pragnę i myślę, że ty pragniesz mnie.

Nie mogła zaprzeczyć.

- Wiesz, że tak

- Gdybyś się zgodziła ofiarować mi więcej niż jedną noc, uniknęlibyśmy dzisiejszych dylematów. Mielibyśmy czas, aby nasz związek rozwijał się wolno i spokojnie. Czy stopniowy postęp znajomości nie odpowiadałby ci bardziej?

Bez słowa potrząsnęła głową, a on przyjął jej odmowę wzruszeniem ramion.

- W takim razie zostaniesz, czy mamy to skończyć teraz? Zawahała się. Jak mogła myśleć, że jest zdolna spędzić

z nim noc? Nigdy wcześniej się tak nie czuła. Gdyby winda nie była zamknięta, już byłaby w jej wnętrzu, zdecydowana uciec. Czuła się jak mysz złapana w pułapkę.

- A jeśli to się nie uda... - Jej głos zabrzmiał dźwięcznie.

- Odwiozę cię do domu. - W jego słowach słyhać było rozbawienie. Zrozumiała, że był w stanie czytać jej myśli tak, jakby mówiła je na głos. - Żadnego przymusu. W międzyczasie otworzę butelkę wina i będziemy mogli porozmawiać.

- Brzmi świetnie.

Zdecydowali się oglądać zachód słońca z balkonu przy salonie. Było idealnie. Lander wybrał francuskie wino beaujolais, lekkie i delikatne jak ich konwersacja. Zapytał o jej pracę dla Aniołów Arnauda, temat drogi jej sercu. Gdy tak pili i rozmawiali, Julianna czuła, jak jej napięcie ustępuje. Skończyli pić wino, gdy słońce chowało się za horyzont. Miejskie ciemności rozświetliły uliczne lampy, a gwiazdy migotały na nieboskłonie ponad nimi.

Lander podniósł się, ofiarując jej swoje ramię.

- Nie jesteś głodna? Zamówiłem dla nas kolację. Spojrzała na niego, pragnąc całym sercem, żeby był zwyczajnym mężczyzną i nie musiał się przejmować groźbą skandalu lub żeby ona była kobietą, z którą można bez obawy pokazać się publicznie. Wstała i wzięła go pod ramię.

- Dziękuję. Umieram z głodu. Pracowałam dziś w porze lunchu.

- O czym myślałaś przed chwilą? - zapytał niespodziewanie.

- O niczym ważnym - odparła ostrożnie.

- Wiesz, że twoje oczy ciemnieją, gdy nie jesteś szczerą? -Przejechał kciukiem wzdłuż jej kości policzkowych. - Brąz zastępuje złoto. Powiedz mi prawdę. O czym myślałaś?

- Jest mi przykro, że mamy tylko tę noc - wyznała.

- To twój wybór, nie mój.

- Uwierz mi, mówię tak, bo mam ważne powody.

- Powiedz mi jakie.

- Może po kolacji.

Potrząsnął przecząco głową, jakby odrzucał tę propozycję, a ona westchnęła.

- Znowu moje oczy?

- Zupełnie cię zdradziły.

- John też zawsze umiał odgadnąć, czy kłamię. Teraz wiem dlaczego.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, wspominając brata. Orzechowe oczy Landera zapłonęły zielonymi błyskami zazdrości. Przynął się do niej bliżej. W świetle było widać srogi wyraz jego twarzy.

- Myślę, że byłoby mądrzej nie rozmawiać dziś o twoim szefie. - Jego balsamiczny głos był zimny. - Chyba że chcesz zakończyć tę noc inaczej, niż planowaliśmy.

Przez moment chciała się wycofać, ale to nie byłoby w jej stylu. Nie pozwoli mu wierzyć, że jest jedną z kobiet Johna.

- Jesteś zazdrosny? Dlatego mam nie wspominać Johna? -Tak.

Zaskoczył ją tą szczerością.

- Pozwól mi cię zapewnić, że nie jesteśmy i nie byliśmy kochankami.

Nigdy.

- Wasze relacje są czysto zawodowe? - spytał z powątpiewaniem.

- Nie - przyznała. - To coś więcej i zawsze tak będzie. Znamy się prawie całe nasze życie.

- Niech zgadnę. Jest dla ciebie jak brat. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Dokładnie.

- Trudno mi uwierzyć, by mężczyzna przebywający przez dłuższy czas w twoim towarzystwie nie zapragnął mieć cię w swoim łóżku. Szczególnie ktoś taki jak John.

- Spójrz w moje oczy i powiedz, co tam widzisz. Prawdę czy kłamstwo?

Odczekał chwilę i pogłaskał ją po twarzy tak, jakby próbował zebrać informacje opuszkami palców. Po czym powiedział:

- Prawdę.

- Czy jest coś jeszcze w związku z Johnem, o co chciałbyś spytać?

Teraz masz szansę.

- Nie.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się szeroko. - W takim razie chodźmy jeść.

Naprawdę umieram z głodu.

Pomogła mu podgrzać posiłek i przenieść na stół.

- Mój ojciec był zadziwiającym człowiekiem. - Nagła deklaracja Landera zawierała w sobie tyleż miłości co smutku. - Nie ma dnia, żeby mi go nie brakowało. Mam nadzieję, że gdy będę królem, dokonam choć połowę tego co on.

- Jestem pewna, że tak będzie.

- Dzięki za wyrazy zaufania, ale biorąc wszystko pod uwagę, to nie będzie proste. Verdonia staje w obliczu wyzwań.

Umiała czytać między wierszami.

- Och, słyszałam pogłoski o ametystach. Rosną obawy, że złoża są wyczerpane. Co będzie, jeśli okaże się to prawdą? Czy to nie podstawa ekonomicznej Verdonii?

- Znajdziemy alternatywę dla podtrzymania rozwoju gospodarczego. Biorę pod uwagę kilka możliwości. - W jego głosie brzmiała determinacja.

- To może chwilę potrwać, ale jesteśmy silnymi ludźmi. Dostosujemy się,

Julianna spuściła wzrok. Część układanki wskoczyła na swoje miejsce. Była ciekawa, dlaczego John przyjechał do Verdonii. Twierdził, że chciał ją zobaczyć i nakłonić do powrotu do dawnej pracy. Jakoś trudno jej było w to uwierzyć. Teraz wydawało jej się, że zna odpowiedź. Jeśli Verdonia ma kłopoty finansowe, to najlepiej wezwać finansowego czarodzieja Johna Arnauda.

Nie mogła się długo rozwodzić nad tą kwestią. Lander pochylił się i wziął ją za rękę.

- Powiedz mi, proszę, czy podjęłaś już decyzję.

- Jaką decyzję? - Wydawała się zaskoczona.

- Dotyczącą dzisiejszej nocy. Chciałabyś wyjść?

Czyżby nie wiedział? Nie wyczuł jej pragnienia?

- Nie chcę wychodzić. Zostaję.

- W takim razie zrobmy mały eksperyment. Uwolnił jej rękę, podniósł się i stanął za nią. Kiedy chciała wstać, posadził ją z powrotem na krześle.

- Nie, nie, ty się nie ruszaj. Posiedź chwilę.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała rozbawiona, jednak z pewną obawą.

- Tylko to. - Rozpiął klamerkę spinającą jej włosy na karku. Zatopił dłonie w luźno opadających lokach. - O wiele lepiej, gdy są rozpuszczone.

- Och, zbytnio się kręca.

Dłońmi oplótł jej szyję. Palcami prześliznął się po klapach zakietu. Stojąc wciąż za nią, rozpiął kolejne guziki jej marynarki, a potem bluzki. Jej oddech przyspieszył, a ręce zacisnęły się na poręczach krzesła. Wydawało się, że nigdy nie skończy. Czy czekał na jej protest? Myślał, że zmieni zdanie? To się nie zdarzy. W końcu zakiet i bluzka zostały zdjęte.

- Ładne - ocenił, wodząc palcem po koronkowym ramiączku jej stanika. - Bardzo ładne. Kto by pomyślał, że pod sztywnym, biznesowym kostiumem kryje się coś tak seksownego? Co jest prawdziwe? Kostium czy bielizna?

- A dlaczego nie jedno i drugie?

Jego palec wkradł się pod koronkę.

- Tak? Ale czy jedno nie jest bardziej prawdziwe od drugiego?

Syrena czy bizneswoman? Co ci bardziej odpowiada?

- Dzisiejszego ranka, gdy próbowałam odmienić życie dziecka, byłam bizneswoman. Ale dziś w nocy...

Wstała i odwróciła do niego twarz.

- Co dziś w nocy? - zapytał.

- Nie jestem syreną. Jestem kobietą. Kobieta, która cię pragnie.

RS

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Lander nie potrzebował dodatkowej zachęty. Porwał ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Nie tracił czasu na zapalenie świateł. Poświata księżycyca wpadająca przez okna dawała dostateczne oświetlenie. Pochylił głowę, składając pocałunki na jedwabistych ramionach i szyi.

- Jedna noc - wyszeptał. - Przysięgam, że uczynię ją niezapomnianą. Poczuł drżące palce, które zanurzyła w jego włosach.

- Chcę niezapomnianej - powiedziała, przytulając się mocno. - Nawet więcej, chcę dać ci to samo.

- Już to zrobiłaś. - Pokrył jej twarz pocałunkami, zdeterminowany, by poznać jej smak.

Był tak pochłonięty odkrywaniem jej, że ledwo zauważył, kiedy rozpięła mu koszulę i pasek od spodni. Walczył z pożądaniem. Chciał ją jak najszybciej poczuć w pełni. Julianna jednak zasługiwała na coś więcej. Jeśli mieli tylko jedną noc, chciał mieć pewność, że spędzą ją na cieszeniu się każdą sekundą.

Odnalazł suwak w jej spódnicy i rozsunął go. Ku jego radości jednym ruchem bioder zrzuciła spódnicę na ziemię. Stała prawie naga w świetle księżycyca. Miała na sobie jedynie pończochy, szpilki i stanik. Zawahała się. Gdy uciekła wzrokiem, pojął, jak łatwo można ją zranić. Wziął w dłonie jej twarz.

- Coś jest nie tak?

- Nic, to znaczy... - Ręce jej drżały. - Wszystko dobrze. To dlatego, że znam cię zaledwie jeden dzień.



-I już stoisz w mojej sypialni, praktycznie naga, gotowa się ze mną kochać. - Prawie poczuł rumieniec wypływający na jej policzki.

- Tak.

- I źle się z tym czujesz?

- Nie. - Zatrzęsa się od nagłego chłodu, który wtargnął do pokoju.

Zamiast się otulić swoimi rękami albo sięgnąć po ubrania, czego połowa jej jestestwa pragnęła, wtuliła się mocniej w jego ramiona, by poczuć jego ciepło.

- Przeraza mnie to, jak dobrze się z tym czuję. Jak to możliwe po zaledwie kilku krótkich godzinach?

Ogłuszyło go to wyznanie. Poczul się onieśmielony, tym bardziej że odzwierciedlało jego myśli. Trzymając ją w ramionach, było mu dobrze. Nie miał możliwości rozpatrywania tego teraz, kiedy mieli tylko jedną noc dla siebie. Spojrzał na kobietę, którą trzymał w ramionach. Podjął decyzję. Wykorzysta jak najlepiej te kilka godzin, które mają. Da jej doznania, których nigdy nie zapomni, coś, czym się będzie mogła delektować. A potem koniec.

- Czujesz się dobrze, bo to jest dobre - zapewnił. Przynajmniej w tym momencie, dodał w myślach. Chciał być w porządku w stosunku do niej, dlatego zaproponował: - Możemy przestać. Jeśli to tylko seks, wszystko wygaśnie. W końcu wróci nam zdrowy rozsądek. - Może, dopowiedział w głowie. Roześmiała się.

- Nie sędzę, żeby samo przeszło. Nie, dopóki czegoś z tym nie zrobimy.

Wiedział to.

- Zobaczmy, jak dobrze możemy to zrobić.

Potem nie było już żadnych rozmów. Skupili się na sobie. Opanował swoją niecierpliwość i instynkt, żeby osiąść ją szybko. Zamiast tego kontynuował powolną, długą drogę, rozkoszując się każdym krokiem. Rozpiął jej stanik. Zrolował w dół pończochy po jej nieskończenie długich nogach, zatrzymując się co chwila, by całować jej ciało. Nie mogła dłużej czekać.

- Pospiesz się, błagam - ponagliła.

- Bez szans. To zbyt ważne, by się spieszyć. - Całą swoją uwagę skupił na zdejmowaniu jej bielizny, podczas gdy ona bezwładnie leżała w jego ramionach.

Wokół nich leżały rozrzucone ubrania. Lander porwał ją w ramiona i zaniósł w stronę zacienionego łóżka, kierując się światłem księżyca. Położył ją na pluszowej narzucie, a jej ciemne loki rozrzucone wokół jej głowy wabiły go. Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widział. Satynowo miękka, szczodra i ciepła, wypełniona tym samym co on głodem. Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Co by cię uszczęśliwiło, kochanie? - Wziął w dłonie jej piersi i delikatnie drażnił jej sutki palcami, a potem językiem.

Jej zapach doprowadzał go do szaleństwa. Usłyszał jej gwałtowny oddech. Zerwała z niego bieliznę. Jej mięśnie się napięły, pośladki i uda drżały. Zduszony szloch pożądania wyrwał jej się z ust. Opadła w jego ramiona. Przytulił ją delikatnie, łagodząc jej niepokój.

Przykrył ją swoim ciałem, uciszając emocje. Po chwili na nowo rozpoczął swój erotyczny taniec. Kiedy pierwszy raz ją zobaczył, obiecał sobie, że jeśli się nadarzy taka okazja, odkryje każdy centymetr jej ciała. I

właśnie tej nocy zamierzał spełnić tę obietnicę. Jego dotyk był niesamowity.

- Proszę, proszę, Lander. Weź mnie teraz. Uczyń mnie twoją.

Uniósł się nad nią i zanurzył w jej wilgotnym cieple. Oplotła go nogami, ściskając mocno. Nigdy nie czuł czegoś takiego. Wyszeptała jego imię. Słyszał jej śpiew, tę muzykę rozkoszy, pragnienia i upojenia. Zrozumiał, że tej pieśni nigdy wcześniej nie śpiewała, że kobieta w jego ramionach była dziewicą. Oddała mu się bez warunków i bez wahania, mimo że nie było dla nich przyszłości. Wypełniał ją całym sercem, przelał w nią swoją duszę. Nadchodziło spełnienie. Wspinali się nieubłaganie aż do chwili, kiedy osiągnęli przyprawiający o zawrót głowy szczyt. Przez kilka niekończących się sekund byli poza granicami świadomości, a ich ciałami wstrząsała niewiarygodna rozkosz.

Padli bez tchu. Byli płataniną rąk i nóg.

Po jakimś czasie ich ciała ochłonęły i poczuli chłód. Lander wyciągnął rękę i przykrył ich narzutą, zawijając w jedwabny kokon. Minęła wieczność, zanim namiętność ustąpiła na tyle, by jego mózg mógł normalnie funkcjonować.

- Dlaczego, Julianno? - Obrócił się w jej stronę i uniósł na łokciu. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Daremnie się wpatrywał, by dostrzec w półmroku wyraz jej twarzy. Usłyszał w jej głosie ostrożność.

- Czego ci nie powiedziałam?

- Nie udawaj. Nie robiłaś tego wcześniej. Dlaczego teraz? Dlaczego ze mną?

- Bo wydało mi się to właściwe. - Wzruszyła ramionami.

- To nie jest wystarczająca odpowiedź.

Usiadła i tym razem księżyc ją odnalazł, oświetlając twarz i ramiona.

- Nie pomyślałeś, że chciałam, żebyś to był ty? Że nie miałam nadziei na więcej, niż możesz zaoferować? Na więcej niż sama mogę dać?

- Odwróciła twarz. - Czy ty czujesz podobnie?

- Przepraszam. - Pociągnął kosmyk jej włosów i trzymał, aż się odwróciła. - To mnie po prostu zaskoczyło. Trudno mi było uwierzyć, że nie było wcześniej żadnego mężczyzny w twoim życiu.

- Był jeden.

To stwierdzenie go zdziwiło.

- Najwyraźniej sprawy się nie ułożyły, bo nie mam wątpliwości, że nie byłeś w jego łóżku.

- Nie byłam.

Intensywny ból wyrażony w tych słowach sprawił, że chciał ją przytulić i ochronić przed każdym, kto mógłby ponownie chcieć ją skrzywdzić.

- Chciał mnie uwieść dla swoich celów. Odkryłam to, zanim popełniłam ostateczny błąd. - Władczy ton ujawnił zimny gniew.

- Mieszkaniec Verdonii?

- Nie, Wasza Wysokość. - Złote ogniki w oczach podkreśliły jej rozbawienie. - Loch i sala tortur nie będą potrzebne.

- Zrobiłbym to - warknął.

- Zapomnijmy o Stewarcie. - Przeturlała się na niego i nakryła jego usta swoimi. - Czy nie wolałbyś porobić czegoś innego?

To była oferta, której nie mógł się oprzeć. Pozostała część nocy upłynęła im od jednego niezapomnianego wrażenia do następnego, aż

zupełnie wyczerpani zasnęli. Kiedy Lander się obudził, słońce było już wysoko na niebie, wypełniając swym blaskiem cały pokój. Ale ciepło zniknęło.

Julianny nie było.

Julianna wystawiła twarz do pierwszych porannych promieni słońca. Zamiast wziąć taksówkę, wolała się trochę przejść. Potrzebowała ruchu, by móc się skoncentrować. Początkowo jej kroki były lekkie, a krew radośnie krążyła w jej żyłach. Ostatnia noc była najbardziej niewiarygodną w jej życiu. Nigdy sobie nie wyobrażała, że miłość może być jak trzęsienie ziemi.

Sekretny uśmiech pojawił się na jej wargach i przypadkowy przechodzień odwzajemnił go, szczerząc zęby. Potrząsnęła głową. Cudownie wyobrazić sobie całe życie wypełnione nocami takimi jak ta, której właśnie doświadczyła. Witać każdy dzień, budząc się u jego boku. Mieć prawo pozostać tam tak długo, jak tylko zechce. I wyobrazić sobie każdy ranek wypełniony zadowoleniem i rozradowaniem przewyższającym wszystko, o czym ośmielała się marzyć. Rozkoszowała się tymi myślami. Aż sobie przypomniała.

Lander nigdy nie będzie częścią jej życia. A ona nigdy nie będzie wiedzieć, jak to jest budzić się w jego ramionach, bo to się nigdy nie zdarzy. Zgodziła się dać mu jedną noc i nic ponadto. Nawet gdyby chciał ją znów zobaczyć lub kontynuować ten związek, było to niemożliwe.

Może namówiłby ją, gdyby zapewnił, że ich związek pozostanie sekretem? Miała jednak dość doświadczeń z dziennikarzami. W końcu odkryliby, że Lander się z nią spotyka. A zaraz potem odkryliby jej prawdziwą tożsamość. Wtedy on mógłby stracić prawo do tronu, a tego by

sobie nie wybaczyła. Poza tym nie zamierzała długo pozostawać w Verdonii. Wkrótce przeniesie się do innego europejskiego kraju.

Jej energia wyparowała, wcześniejsza euforia uleciała. Przywołała taksówkę i usiadła na tylnym siedzeniu, powstrzymując łzy. Próbowwała przejść w myślach serię matematycznych równań, ale nawet to jej nie uspokajało. Dziesięć minut później podjechała pod swój budynek. Weszła do środka. Winda zawiozła ją na dziesiąte piętro. Poczowała ulgę, wiedząc, że nie czeka na nią żadna praca, że może wziąć dzień wolny i lizać rany. Ku swemu przerażeniu wchodząc do mieszkania, zauważyła czekającego Johna. Rzuciła spojrzenie na brata i przełknęła łzy.

- O rety - mruknął, przytulając ją. - Co ten drań ci zrobił?

- Wszystko i nic. - Próbowала odzyskać panowanie nad sobą, ale bez specjalnego sukcesu. - Przykro mi, John. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Mówiłem ci, żebyś się trzymała od niego z daleka. Naturalnie nie chciałaś mnie słuchać i teraz płaczesz przez niego.

Pod braterską troską dostrzegła srogość, która ją zaalarmowała.

- Od czasów Stewarta nie płakałaś z powodu żadnego faceta.

Ten komentarz ją zmroził. Pamiętała, co zrobił Stewartowi.

- Nie. - Cofnęła się, łapiąc brata obiema dłońmi za koszulę. -

Posłuchaj mnie teraz, wielki bracie. Trzymaj się od tego z daleka. Lander nie sprowokował mojego płaczu. Mówię poważnie. To nie przez niego.

Przyjął jej zapewnienia ze sceptycyzmem.

- Więc dlaczego jesteś taka smutna?

- On chciał kontynuować nasz związek, a ja się nie zgodziłam.

Nie było dokładnie tak, ale nie miała wątpliwości, że Lander chciałby, żeby z nim została. To pragnienie było niemal namacalne w

każdym wyszeptanym słowie, w każdym namiętym pocałunku. John kiwnął głową.

- To, co mówisz, nie ma żadnego sensu. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że jesteś jedną z najbardziej racjonalnych kobiet, jakie znam. Jeśli Lander chce z tobą być, to w czym problem?

- Wiesz, w czym problem.

Mięśnie jego twarzy drgnęły.

- Boisz się, że ludzie się dowiedzą, a potem zaczną grzebać w twojej przeszłości. A ty nie chcesz być przedmiotem medialnego szaleństwa jak kiedyś.

- Tak. - Puściła jego koszulę i próbowała odgonić smutek.

- Miałaś rację, ostrzegając mnie przed nim. On jest księciem. Ja nikim. Nawet gorzej. Gdy ludzie się dowiedzą, kim jestem, on może stracić tron.

- Nie wiesz tego, nie masz pewności - zaprotestował.

- Wiem. - Cofnęła się o krok i przyjęła nieugięty wyraz twarzy, którego używała, rozmawiając z najbardziej opornymi klientami. - To skończone, John. Spędziłam z nim jedną noc. To wszystko, o co prosiłam. Dostałam dokładnie to, czego chciałam.

To byłoby głupie mieć nadzieję na więcej.

- Jesteś pewna? Mogę się tym zająć, jeśli chcesz.

- Jestem przekonana. I nie chcę, żebyś się tym zajmował. Serio. Trzymaj się od tego z daleka. - Zmusiła się do szybkiego, jasnego uśmiechu.

John odwzajemnił ten uśmiech. Białe zęby błysnęły na tle jego ogorzałej od słońca twarzy.

- Dobrze, Anno. Czy nie dawałem ci zawsze wszystkiego, czego pragnęłaś?

- Tak, dawałeś.

Zdawała sobie sprawę, że tym razem nie mógł jej pomóc. Nie mógł jej dać tego, czego chciała. W chwili, kiedy drzwi się za nim zamknęły, tama powstrzymująca emocje pękła.

Lander wpatrywał się w Arnauda z bezbrzeżnym zdziwieniem.

- Co powiedziałeś?

- Słyszałeś. - W twarzy Johna widać było determinację. - Chcę, żebyś poślubił moją siostrę. W praktyce nasze negocjacje zależą od spełnienia tego warunku.

- Zapomnij o tym. Może gdybyś z tym przyszedł tydzień temu. Może, podkreślam, wziąłbym to pod uwagę. W takiej jestem desperacji. Ale nie dziś.

- Z powodu Julianny?

- Tak. Z powodu Julianny.

- Myślałem, że to była jednonocna przygoda.

- Ty draniu! Czy ona ci powiedziała?

- Nie chcę nadużywać jej zaufania. - Szyderstwo wkradło się w słowa Johna. - Z mojego punktu widzenia są dwa wyjścia. Mogę cię zbić na krwawą miazgę za uwiedzenie Julianny albo zmusić cię do zapłacenia za to, co zrobiłeś. Będzie cię to kosztowało pożegnanie z twoją ceną wolnością. Osobiście wygrzmocenie cię uważam za bardziej atrakcyjne.

W dwóch krokach Lander przebył pokój i chwycił Johna za gardło, przyciskając go do ściany.



- Co cię z nią łączy? - zapytał gniewnie. - Przysięgała, że nie byliście kochankami. Więc dlaczego rzucasz nam kłody pod nogi? Dlaczego wypychasz swoją siostrę między nas? Chcesz Julianę dla siebie?

Ku zaskoczeniu Landera John nie próbował się uwolnić z uścisku.

- Chcę jej szczęścia.

- I ten ślub uczyni ją szczęśliwą?

To wszystko nie miało żadnego sensu.

- Tak sędzę. Dlaczego nie rzucisz okiem na zdjęcie mojej siostry?

- Do diabła, i co dobrego z tego wyniknie? - Puścił Johna z wyrazem obrzydzenia na twarzy. - Myślisz, że się zakocham od spojrzenia na fotografię?

John wzruszył ramionami.

- To się może zdarzyć. - Wyjął z portfela zdjęcie i obrócił w stronę Landera. - Dlaczego nie spróbujesz?

Lander nonszalancko chwycił zdjęcie w powietrzu, a potem zastygł w osłupieniu, wpatrując się w fotografię.

- Moja siostra Julianna Rose Arnaud. Zawsze wołałem na nią Anna. Sędzę, że to zdrobnienie kojarzy jej się ze złymi wspomnieniami i dlatego już go nie używa.

Landerowi zabrakło dobrej chwili, zanim był w stanie przemówić.

- To wszystko było ukartowane od początku? - rzucił Johnowi wściekłe spojrzenie. - Wezwałem cię na pomoc i kto się pojawił na balu, kiedy czekałem na ciebie? Twoja siostra, która zapomniała się przedstawić. Jakże dogodnie. Spadła w moje ręce jak dojrzała brzoskwinia i po spędzeniu jednej nocy nagle się dowiaduję, że jesteście spokrewnieni.

I przypadek nad przypadki, następnego dnia trzymasz nasz kontrakt w ręku.

John potrząsnął głową.

- Sprytny plan. Chciałbym zbierać za niego gratulacje, ale nie jest mój. Ja tak nie działałam.

- Nie wiem, jak do tego doszło, ale radzę ci opuścić Verdonię, póki masz głowę na karku.

John wykonał ręką łagodzący gest.

- Posłuchaj, przysięgam, że to nie było ukartowane. Próbowałem ją przed tobą ostrzec, Montgomery. Nie wspomnę, ile razy jej radziłem trzymać się od ciebie z daleka. Ale Julianna ma miękkie serce dla takich szakali jak ty i skoro już wasza znajomość weszła na ten etap, ślub wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem.

- Ale nie dla mnie.

Na te słowa gniew błysnął w oczach Johna.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim... Teraz porozmawiajmy poważnie, bo to jest oferta jednorazowa z mojej strony. Jeśli ją odrzucisz, odchodzę. Twój drogocenny kraj może popaść w ruinę, nie dbam o to.

- Czego chcesz?

- Sfinalizowanie naszej umowy jest proste. Sprawisz, by moja siostra się w tobie zakochała. Ożenisz się z nią, będziesz ją traktował jak królową, bo na to zasługuje, i będziecie żyć długo i szczęśliwie. Możesz mieć nawet dzieci, jeśli ci zależy - rzucił Landerowi zabójcze spojrzenie. - Chyba dasz sobie z tym radę?

Dzieci? Wyobraził sobie małe, rudowłose brzdące, biegające na chwiejnych nóżkach po pałacu. Odsunął się krok do tyłu.

- Myślę, że nie powinieneś się mieszać do tych spraw.

Mierzyli się spojrzeniem przez minutę.

- Zrobisz to, mam rację? - zapytał John. - Zrobisz wszystko, żeby ratować swój kraj.

Lander zgrzytnął zębami w niemej furii.

- Tak - poddał się w końcu.

- Nawet jeśli to oznacza przyjęcie mnie do rodziny? - przypierał mocniej John. - Nawet jeśli to pokrewieństwo może cię kosztować tron?

Faktycznie mogło. Lander odwrócił się i pozwolił, żeby ta możliwość zagościła w jego głowie i sercu. Nie miał czasu, by się nad tym długo zastanawiać. Poznał już plan Arnauda dla Verdonii. To był dobry plan, zawierał doskonałe rozwiązania, pozwalające na finansowe odrodzenie. Jeśli miał za to zapłacić małżeństwem, zrobi to. Gdyby to oznaczało uchronienie Verdonii od ekonomicznej katastrofy, poślubiłby nawet dwugłowego potwora.

Jednak nie podobała mu się taktyka Johna, tak samo jak nie odpowiadało mu podejrzewanie otwartej i słodkiej Julianny o podstęp. Pewnie, że zataiła przed nim swoje nazwisko, ale zdawało mu się, że był to jednorazowy wyskok. Nie podobało mu się, że jest zmuszany do ślubu. Zawsze był panem swojego losu. To on wydawał rozkazy. Teraz musiał skakać tak, jak mu zagra John.

Obracając się, zapytał:

- Rozumiem, że ona ma nie wiedzieć, że mamy taki zapis w naszym kontrakcie?

- Jeśli się dowie, potraktuję to jako zerwanie umowy. To potwierdzało przypuszczenia Landera. Nawet jeśli to było ukartowane, Julianna odgrywała w tym planie rolę nieświadomego niczego pionka.

- Jeszcze tylko jedno pytanie: dlaczego? Nie możesz sądzić, że to jest w interesie twojej siostry.

Twarz Teksańczyka wyrażała wiele. Przede wszystkim gniew i upór. Ale także wrażliwość.

- Mylisz się, Montgomery. To jest w jej interesie. Nie mogłem jej chronić, kiedy dorastała. Nawet teraz niewiele mogę zrobić. Ale ty możesz. Możesz jej dać wszystko, czego potrzebuje, czego ja nigdy nie mogłem jej zapewnić.

Lander miał ochotę się z tym spierać. Jego zdaniem to był wielki błąd. Nie miał wątpliwości, że będzie tego żałował, ale nie widział innego wyjścia. Chciał wyjaśnić, jaka to przysługa dla Julianny być poślubioną nie z miłości, ale ze względu na umowę finansową. Wiedział jednak, że jeśli Arnaud się przy czymś uprze, nie sposób zmienić jego zdania. Może później pojawi się możliwość negocjacji, okazja do spokojnego przedstawienia swoich argumentów. Do tego czasu Lander nie ma wyboru.

- Umowa stoi? - zapytał niecierpliwie John.

- Tak, stoi.

Uścisnęli sobie ręce.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Julianna skończyła ostatnią robotę papierkową i odsunęła folder na drugą stronę biurka. Była wyczerpana. Ostatnie trzy dni były ohydne, zapewne dlatego, że zdecydowała się pracować non stop. Jednak pozwoliło jej to trzymać się z dala od Landera i nie myśleć o tamtej niezapomnianej nocy. Usłyszała pukanie do drzwi. Powstrzymała jęknięcie. Zegar na ścianie wskazywał dobrze po siódmej. Pracownicy powinni już od dawna być w domach, nie wyłączając jej asystenta. Usłyszała, jak drzwi się otwierają.

- Colin, myślałam, że kazałam ci iść do domu jakąś godzinę temu - burknęła, nie otwierając oczu.

Asystent nie odpowiedział, ale oczami wyobraźni zobaczyła jego zdecydowanie, by zabrać ostatni dokument, który podpisała.

- Nie masz dziś randki?

Zszokowana poczuła jego dłonie i palce zaciskające się na jej ramionach. Gwałtownie otworzyła oczy i zerwała się na równe nogi.

- Mój Boże, Colin?

- Wyszedł.

- Lander! - Obróciła się i spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Co ty tutaj robisz?

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć.

Przyciągnął ją do siebie. Odprężyła się. Po chwili jednak rozum zwyciężył.

- Proszę, nie zrozum mnie źle, ale... dlaczego?

Smakował jej usta. Była zdecydowana powstrzymać go, oderwać się od niego. Chciała powiedzieć mu jasno i wyraźnie, że nie chce go więcej widzieć.

Jednak z jękiem poddała się i utonęła w jego objęciach. Przytuliła się do niego i rozkoszowała jego zapachem. Podniósł ją z łatwością i posadził na biurku. Spódnica podsunęła się do góry. Włożył pod nią dłonie, położył na jej kolanach i lekko je rozsunął. Cofnęła się i poprawiła pończochy.

- Co my robimy? - domagała się odpowiedzi, rozdarła wewnątrz.

- A jak myślisz?

- Przecież uzgodniliśmy, że to będzie jedna noc.

- To był twój wybór, nie mój. A ja jak głupiec nie naciskałem zbyt mocno.

Skradł jej kolejnego całusa, przejmującego do głębi.

- Jednak zdecydowałem, że chciałbym renegotjować warunki tej umowy.

Zaczęła potrząsać głową, jeszcze zanim skończył mówić.

- Nie. Nie. Musisz mi uwierzyć, że mam przekonujący powód.

Nawet kilka.

Lander westchnął ciężko.

- Podaj mi choć jeden.

Walczyła, aby znaleźć równowagę między prawdą i ostrożnością.

- Zbliżają się wybory. Musisz się na nich skupić.

- Moje osobiste życie nigdy nie wpływało na obowiązki wobec kraju.

Wiedz, że zawsze mają pierwszeństwo przed wszystkim - podkreślił.

Odpiął spinkę z jej włosów i wsunął palce w gęstwinę wypuszczonych na

wolność loków. -Ale to nie oznacza, że nie mam dla ciebie czasu. Jaka jest twoja kolejna wymówka?

Uśmiechnął się.

Zadrżała pod wpływem jego dotyku. Walczyła, aby zachować odrobinę rozsądku.

- Dla mnie to była jedna noc. Zacisnął mocniej dłonie.

- Nie. - Zabrzmiało to szorstko. - Nie umniejszaj tego, co między nami zaszło.

- Chcę być z tobą szczerą. - Pomimo bólu, jaki odczuwała, walczyła, żeby sobie jakoś poradzić z tą zagmatwaną sytuacją.

- Niestety nie mogę ci przedstawić wszystkich problemów, jakie nas czekają, jeśli będziemy kontynuowali nasze spotkania. Zależy mi na tym, abyś mi uwierzył. To jest również najlepsze dla Verdonii.

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie pozwolisz mi o tym zdecydować? Chciałbym, żebyś odpowiedziała na jedno pytanie. Czy ta jedna noc ci wystarczy?

Zamknęła oczy i opuściła głowę.

- Proszę, nie stawiaj tak sprawy.

- Za późno. - Wyczuła, że się uśmiecha. - Bądź szczerą, Julianno.

Chcesz więcej, tak samo jak ja.

- Tak - szepnęła. - Chcę więcej. Ale błagam cię, odejdz. Jest tyle rzeczy, których o mnie nie wiesz.

W tym czasie jego usta wyznaczyły już ścieżkę na jej szyi.

- W odpowiednim czasie, kiedy się nauczysz mi ufać, będziesz mi mogła powierzyć wszystkie swoje sekrety.

Czy on doprawdy nic nie rozumie? Z wysiłkiem uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Lepiej, żebyś ich nigdy nie poznał.

- Z tego samego powodu kiedyś mi o nich powiesz. Nie będziesz miała wyjścia.

- Prawdopodobnie masz rację. - Westchnęła. - Zgodzę się na nasze spotkania, ale mam pewne warunki.

- Zamieniam się w słuch.

- Nikt nie może o nas wiedzieć. Mówię poważnie, nikt. I nie zakochujemy się w sobie.

Był zaskoczony jej uwagą.

- Myślisz, że można kontrolować miłość? Gdzieś już to słyszałem.

- Nie wiem. Ale możemy spróbować.

- Seks i nic więcej.

Zabrzmiało to bardzo surowo. Nawet szorstko, ale nie mogła sobie pozwolić na zakochanie się w Landerze.

- Czy to bardzo źle? - zapytała.

- Tak. - Poglądził jej policzek - Tak, to źle. Ale widać musisz sama to odkryć. Czy masz jeszcze jakieś warunki?

Nie wiedziała co jeszcze. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Resztę ci podam, jak tylko będę mogła trzeźwo myśleć.

- W takim razie nie jestem pewien, czy chcę, żebyś myślała trzeźwo.

Przyciągnął ją do siebie tak, że poczuła sprzączkę paska wrzynającą jej się w brzuch.

- Jeśli to już wszystko, proponuję przejść do rzeczy.

- Słucham? - Odsunęła się. - Czy chcesz powiedzieć... ?



- Tak, to właśnie chcę powiedzieć. Tu i teraz. Spojrzała na niego.

Czy on oszalał?

- Zapewne są kobiety, które mogą się kochać na blacie biurka, ja jednak do nich nie należę.

- Doprawdy? - Nieznaczny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- A co stało się z „to tylko seks i nic ponadto”? Uświadomiła sobie nagle, jak musi wyglądać. Włosy w nieładzie spadały na ramiona, spódnica podciągnięta do góry tak, że ukazywała wszystko od pasa w dół, a nogi obejmowały go w talii. Gorąco zalało jej policzki i nie umiała spojrzeć mu w oczy.

- Nie tutaj - wyszeptała. - Nie w taki sposób.

- Nie rozumiem. Myślałem, że powiedziałaś, że to tylko seks, żadnego zaangażowania emocjonalnego. - Koniuszkami palców dotykał jej piersi. - Nie potrzebujemy łóżka. Możemy to zrobić tutaj. - Rozejrzał się wokoło. - Albo pod tą ścianą. Albo na podłodze. Dywan będzie kłuł, ale do diabła z tym. Jestem taki głodny. Chcę jeść. Czy nie tak to właśnie działa?

Zdjęła z niego nogi i odepchnęła go. Pozostał nieugięty jak skała.

- Proszę, przesun się. Chcę zejść z biurka.

- Mówię serio, Julianno. Wyjaśnij mi to. Czy to ma znaczenie gdzie?

- Położył ręce na jej udach. - Albo jak?

Przykryła jego dłonie swoimi, usiłując powstrzymać te sprytnie palce przed posuwaniem się naprzód. Ku jej przerażeniu z oczu popłynęły jej łzy, a w gardle poczuła ucisk utrudniający odpowiedź.

- Po prostu mnie zostaw, proszę.

Jego uścisk zelżał. Złagodniał. Chwytał jej twarz w dłonie, pochylał się i pocałował ją namiętnie.

- I to właśnie, moja droga Julianno, dowodzi, że miałem rację. Sam seks nigdy nam nie wystarczy.

Odsunął się i pomógł jej zejść z biurka. Kilkoma szybkimi ruchami uporządkowała swoje ubranie.

- Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem. Zachwiała się.

- Jeśli uważasz, że to nie może być tylko seks, dlaczego się zgodziłeś na moje warunki?

- Chciałem ci dać spróbować tego, co zaproponowałaś.

- Cóż za wspałałomyślność - wymamrotała.

- Tak właśnie myślałem. - Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- I co teraz? - spytała.

- Teraz będziemy się dobrze bawić. Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Bawić?

- Wyglądasz na zdziwioną. Czy nigdy dotąd się nie bawiłaś?

Zastanowiła się chwilę i potrząsnęła głową.

- Nie.

- W takim razie najwyższy czas, żebyś zaczęła.

W ciągu dnia Julianna pracowała ciężko. W nocy zaś cieszyła się tymi kilkoma godzinami, kiedy mogła być z Landerem. To było jak jakaś gra. Późnym popołudniem każdego dnia otrzymywała telefon z informacją o coraz to innych miejscach spotkań, ukrytych przed ciekawskimi oczami. I każdego dnia uciekała z pracy, by znaleźć się tam, gdzie jej wskazał.

Za każdym razem przyjeżdżał po nią inny pojazd. Zawsze udawało im się ukryć, wtapiając się w tłum miasteczka Roche.

Pierwszej nocy została skierowana do podziemnego garażu. Spodziewała się tam jakiegoś apartamentu, ale zamiast tego znalazła się w strefie miasta wolnej od samochodów, roziskrzonej światłami sklepów. Spędzili razem całą noc, włócząc się po mieście, szaleńczo się śmiejąc i bawiąc.

Przez większość czasu ignorowała obecność ochrony, która wszędzie im towarzyszyła. Przemykali od sklepu do sklepu, mierząc ubrania, wyroby jubilerskie czy buty albo włóczyli się po księgarniach. Kiedy byli już wyczerpani, zabrał ją do czarownej, małej restauracji. Zjedli przy blasku świec i dźwiękach muzyki. Kiedy skończyli, Lander odprowadził ją do samochodu, którym, ku jej zaskoczeniu, odwiózł ją do domu.

W następną noc zaaranżował prywatny pokaz filmu w kinie. W kolejny wieczór znalazła go włóczącego się po parku dzikich zwierząt na peryferiach miasta. Zabrał ją na łyżwy. Pływali. Zorganizował nawet wieczór w spa. Jednak żadnej nocy nie zaprosił jej do swojego apartamentu, choć tego pragnęła. Musiał być świadomy zamętu w jej głowie, tak samo jak był świadomy tego, jak bardzo pragnęła znów się znaleźć w jego ramionach. Nie rozumiała tego. Wyglądało to tak, jakby... się do niej zalecał. Ale przecież to nie miało żadnego sensu.

Dziesiątej nocy samochód zaparkował w podziemnym garażu. Najpierw pomyślała, że wreszcie znalazła się w apartamentowcu. Jednak kiedy wysiadła z samochodu, jeden z prywatnych ochroniarzy Landera poprowadził ją przez nieznaną korytarz obstawiony przez ochronę.

Strażnik otworzył ciężkie stalowe drzwi i zaprosił ją do środka.

- Proszę wejść, panno Rose - powiedział.

Zanim zdążyła zapytać, gdzie się znajduje, drzwi się za nią zatrzasnęły. Przyćmione światło zalewało pomieszczenie, w którym się znalazła. Jej wzrok musiał się do tego przyzwyczaić. Kiedyś tu byli razem. Zaskoczona swoim odkryciem zrozumiała, że znajduje się w muzeum.

- To jedno z moich ulubionych miejsc - odezwał się Lander z zacienionej części pomieszczenia. Przekreślił włącznik i pomieszczenie zalała fala światła.

- Lubisz muzea?

- Tak - wyznała - nawet bardzo.

- Tu można odnaleźć wszystko. Sztukę. Historię. Naukę.

Godziny mijały jedna za drugą, a on oprowadzał ją po wszystkich skrzydłach budynku. Kiedy odkryli strefę przedstawiającą historię Verdonii, Lander powoływał do życia każdy eksponat, opowiadając o nim. Później zrobili sobie piknik na podłodze naprzeciw Moneta i Renoira. Zza rogu strzegła ich rzeźba Rodina. Rozmawiali.

Wieczór zakończył się w małym, specjalnie chronionym pomieszczeniu, gdzie przechowywane były klejnoty królewskie Verdonii, między innymi korona. Ku jej zaskoczeniu otworzył gablotę i wyjął tę cenną rzecz, by ją przymierzyła.

- Obawiam się, że jeśli tylko tego dotknę, wpadnie tu ochrona i mnie aresztuje.

- Muszę przyznać, że jesteś pierwszą kobietą spoza rodziny królewskiej, która kiedykolwiek miała okazję to zrobić.

Na jej szyi zapiął naszyjnik wysadzany diamentami i ametystami.

- Co o tym myślisz?

Każda gablota wyłożona była lustrami. Stała naprzeciwko jednego z nich, patrząc na szlachetne kamienie tańczące i połyskujące z każdym jej ruchem.

- Jest oszałamiający.

- To był prezent ślubny dla mojej matki od mojego ojca. Razem z tym.

Wyjął tiarę i umieścił ją na jej lokach. Następnie wsunął na jej palec pierścień z olbrzymim, purpurowoniebieskim, roziskrzonym ognistą czerwienią ametystem.

- Ten pierścień nazywa się Pokrewna Dusza.

- Dlaczego został tak nazwany?

- Ze względu na unikalny kolor ametystu. Nie ma na świecie drugiego kamienia o takim odcieniu. Mamy jeszcze różowe, które są dużo częściej spotykane, i są bardziej popularne.

Wstając, przyglądała się uważnie kamieniom ułożonym w okrąg.

- Czy te kamienie również mają jakieś specjalne znaczenie?

Lander skinął głową.

- Oznaczają przypieczętowanie kontraktu. Jeśli ułożone są w okrąg, tak jak te, to oznacza zawarcie umowy, w tym przypadku dotyczącej małżeństwa.

- Są piękne. - Spojrzała na niego niepewnie. - Musisz bardzo tęsknić za matką.

- Umarła, kiedy byłem bardzo młody, a Merrick był niemowlęciem. Moje wspomnienia są raczej... wrażeniami, Uczuciem ciepła i bezpieczeństwa.

Wyraz jego twarzy sprawił, że zaryzykowała kolejne pytanie.

- Zajął ci trochę czasu, zanim zaakceptowałeś swoją macochę?

- Jest imponującą kobietą. - Uśmiechnął się dziwnie. - Czy wiedziałaś, że zaprojektowała swój pierścionek zaręczynowy?

- Doprawdy? Jak on wygląda?

- Tutaj jest jego replika.

Dołączyła do niego i spojrzała na wskazywany pierścionek. Był całkiem inny niż ten, który należał do matki Landera. Trzy szlachetne kamienie - diament, szmaragd i rubin - umieszczone w centralnym miejscu pierścionka. Wszystkie trzy otoczone na zmianę przez ametysty i szafiry.

- To coś oznacza, prawda?

- Tak. - Usłyszała wzruszenie w jego głosie. - Pewnego dnia, kiedy ja i Merrick odkryliśmy, co to oznacza, staliśmy się prawdziwą rodziną.

- Kamienie urodzinowe?

- Sprytnie, Julianno. Tak, to są kamienie urodzinowe. Centralne reprezentują dzieci. Wszystkie mają tę samą wagę, rodzaj szlif i czystość.

- A okrąg z ametystów i szafirów? Czy to twoja macocha i ojciec?

- Ametyst jest kamieniem urodzinowym mojej macochy. Szafir, mojego ojca. Jeśli się przyjrzyysz dokładnie, dostrzeżesz dwa słowa w języku verdońskim.

Chwilę zajęło Juliannie odczytanie słów ukrytych W misternie wykonanym wzorze.

- Miłość i... jedność.

- Okrąg miłości i jedności otacza trzy najcenniejsze osoby w ich życiu. Moja macocha jest wyjątkową kobietą. -Zatrzymał się na chwilę. - Gdybyś tylko chciała, mogłabyś ją poznać.

Ten komentarz sprowadził ją na ziemię z bolesną świadomością. Jej odbicie w lustrze naigrywało się z niej. Trwała w bajce, ubrana w klejnoty, których nie miała prawa nosić. Tiarę noszoną przez królową. Naszyjnik dany jako królewski prezent ślubny. Pierścioneł, który łączy dwie dusze małżonków.

To bolało. Bolała świadomość, że nigdy nie dostanie takich prezentów. Och, nie chodziło o klejnoty. Nie dbała o to. Chodziło jej o miłość i obietnicę, którą oznaczały. Być może wszystkie kobiety w jej rodzinie miały tego nie zaznać. Jej matka nie dostała wiele od jej ojca, chociaż zawsze miała na to nadzieję, aż do swojej śmierci.

Czuła, jak zalewa ją fala bólu. Potrzebowała chwili, żeby odzyskać równowagę.

- Dziękuję za cudowny wieczór, ale już czas, żebym wracała do domu.

Bez słowa odpiął naszyjnik. Zdjęcie tiary było bardziej problematyczne, ponieważ zaplątała się w jej kręcące się włosy.

- Udało się - powiedział wreszcie, całując ją w czubek głowy. - Nie straciłaś nawet jednego włoska.

Uderzyło ją, że nie dbał o to, czy tiara się zniszczy, tylko o to, by nie zrobić jej krzywdy. Wciągnęła raptownie powietrze.

- Co my robimy? Co ty robisz?

- Nie wiesz?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

- Jesteś mądrą kobietą. W końcu się zorientujesz.

- Nie chcę się zorientować. - Patrzyła na niego, próbując zanalizować sytuację. - Grasz ze mną w jakąś grę. Chciałabym wiedzieć, o co chodzi.

Przerwał wkładanie klejnotów do gablot.

- W nic nie gram.

- Czy próbujesz mnie uwieść? - Potrząsnęła głową od razu po tym, jak zadała to pytanie. - Przecież to nie ma żadnego sensu. Niejasno sobie przypominam, że już to zrobiłeś. Uniósł brwi.

- Jeśli to tylko mgliste wspomnienie, musiałem to zrobić źle. - Zamknął gablotę. - Może istnieje jakieś inne wytłumaczenie. Bardzo proste i bardzo oczywiste.

- Poczekaj. Zapomniałeś o pierścionku. - Ściągnęła go z palca i podała mu.

- Jedyne wyjaśnienie, jakie ma sens, to takie, że wciąż próbujesz udowodnić, że to, co czujemy, nie ma związku z pożądaniem. Tak jak próbowałeś w moim biurze.

Wziął od niej pierścionek. Jednak zamiast go odłożyć, wsunął go do kieszeni spodni.

- Blisko, ale niezupełnie tak.

- Poddaję się. Powiedz mi, o co chodzi.

- A co byś powiedziała na miłość?

Zszokował ją tak, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Wziął ją za rękę, przeprowadził przez strzeżone drzwi i odprowadził do samochodu, który ją przywiózł do muzeum. Silnik delikatnie mruczał, kiedy wyjeżdżali na mokre od deszczu ulice. Błyskawica przecięła niebo, kiedy grzmot uderzył z całą siłą. Krople zaczęły spadać na przednią szybę.

Bardzo szybko wyjechali z garażu. Po chwili rozpoznała drogę do jego apartamentu. Zaparkował samochód i spojrzał na nią. Jego spojrzenie mówiło wszystko. Odpowiedziała na nie, wysiadając z samochodu i



zamykając za sobą drzwi. Podeszła do windy. Grzmoty dudniły, podkreślając każdy jej krok.

- To niemożliwe - oświadczyła, kiedy jechali windą.

Uderzenie pioruna zagłuszyło ją, więc Lander poczekał, aż grzmot umilknie.

- Co jest niemożliwe?

- Prawdziwa miłość. Bajkowy romans. I żyli długo i szczęśliwie.

- Nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie jestem pewna, czy w ogóle wierzę w miłość - wyznała.

- Interesujące, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło, kiedy się spotkaliśmy.

Poczuła ucisk w gardle.

- A co dokładnie się wtedy wydarzyło?

- Może powinienem ci pokazać?

Pochylił się, by skosztować jej ust. Rozchyliła je. To było słodkie połączenie, całkowite i czułe. Kiedy chciał się od niej oderwać, wplotła dłonie w jego włosy, żeby go powstrzymać, i pogłębiła pocałunek. Trawiła ją potrzeba chwycenia się obietnicy, którą jej dawał przez ostatnie dziesięć dni.

Burza szalała nad ich głowami, a powietrze stało się rzeźkie, wypełnione energią. Wszystko działo się szybko, gwałtownie.

- Pokaż mi więcej - żądała, zrywając z niego ubranie. Rozebrał ją, a potem poradził sobie z resztą swojego ubrania. Nie potrzebowali już nic mówić. Od razu zaskoczyła ich intensywność uniesienia. To był wybuch czystej ekstazy.

- Powiedz teraz, że nie wierzysz w miłość - przekomarzał się, doprowadzając ją na szczyt rozkoszy. - Zaprzecz temu, jeśli potrafisz.

- Nie mogę. Wiesz, że nie mogę -powiedziała, łkając.

I kiedy niebo się otworzyło, zalewając ziemię, Julianna otworzyła się również. Otworzyła swoje serce i duszę. Nie będzie dłużej kryła prawdy. Kocha tego mężczyznę. Kocha go bardziej, niż sądziła, że to możliwe. Jej przyznanie się do tego jakby złagodziło burzę. Grzmoty straciły na sile, a błyskawice rozbłyskiwały z oddali. To był idealny moment, by kochać się znowu. Powoli. Czule. Z przenikliwą delikatnością. Poruszając się w subtelnej harmonii.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lander obudził się uszczęśliwiony, trzymając Juliannę w ramionach. Promienie słońca padały na łóżko, oświetlając jej twarz i zmuszając do poruszenia się. Usiadła, ziewając. Jej łokieć mało nie trafił go w szczękę. Gdzie się podziała gracia i poezja jej ruchów z wczorajszej nocy? Rankiem okazała się niepewna i niezdarna, ale to w niewiarygodny sposób podbiło jego serce.

- Dzień dobry - powiedział. Zamrugła, odpędzając resztki snu z oczu.

- Zaspałam?

- Troszkę. - Zanurzył rękę w jej włosach i złożył na jej ustach długi, leniwy pocałunek. - Ale dzięki temu widzę cię w swoich ramionach.

Takiej jej jeszcze nie znał. Nie była to pewna siebie kobieta interesu ani uwodzicielska syrena, która za pierwszym razem przykuła jego uwagę. Zastanawiał się, który właściwie aspekt jej osobowości pociąga go najbardziej. Te raz była jak fascynujący rozczochrany urwis i z chęcią spędziłby z nią resztę poranka.

Zanim zdążył to zaproponować, zmarszczyła cienkie brwi.

- Czy wiesz, która godzina?

- Dziesiąta.

Wyglądała na spanikowaną.

- Praca. Biuro. Jestem spóźniona i to bardzo. Niewzruszony odparł:

- Powiedz im, że byłeś ze mną.

- Zaczekaj, mówisz, że sypianie z księciem Verdonii pozwoli mi się spóźnić do pracy?

- Myślałem o wprowadzeniu dekretu królewskiego. Każda kobieta, która się ze mną prześpi, następnego ranka może nie przyjść do pracy. Jak to brzmi?

Przesunęła się na brzeg materaca.

- Będziesz miał ich cały tłum pod swoimi drzwiami w pałacu.

Przygarnął ją mocno, zanim zdążyła uciec.

- Jest tylko jedna kobieta, którą chcę mieć. Ty. Zobaczył wyraz rozradowania na jej twarzy. Pochyliła się nad nim z pobłażliwym uśmiechem. Była taka piękna. Jej oczy o zwięzonych kącikach nadawały jej egzotyczny wygląd, a miodowo-brązowe plamki błyszcząły pożądliwie. Promienie słońca tańczyły w jej kasztanowych włosach niczym płomyki ognia okalające anielską twarz. Jej ciało było dziełem boskim. Zaokrąglone tam, gdzie trzeba, smukłe w pozostałych miejscach, z mleczną skórą.

- Zostań - wyszeptał, oplatając ją ramionami. - Tylko ten jeden raz.

Z wyrazem rezygnacji odsunęła się od niego, a on, choć to było bolesne, pozwolił jej.

- Przykro mi, Lander. Muszę iść do pracy.

- Dzieci na ciebie czekają, tak?

- Tak. - Zebrała rozrzucone ubrania i otuliła się nimi. Zamaszyście odsunął przykrycie.

- Zaczekaj minutę, ubiorę się i cię odwiozę.

- Nie fatyguj się. Złapię taksówkę i pojedę do siebie.

- Po co brać taksówkę, skoro mogę to zrobić.

Nie zdziwiło go, że unika jego wzroku. Nie musiał pa trzeć jej w oczy, żeby wiedzieć, o czym myśli.

- Boisz się, że ktoś mógłby nas zobaczyć razem?

- Zbyt wiele osób już o nas wie. To się wyda wcześniej czy później. - Uderzył go ból malujący się na jej twarzy. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Wyskoczył z łóżka i naciągnął dzinsy.

- Mamy tyle czasu, ile chcemy - podkreślił, idąc w jej stronę.

- Moja praca w Verdonii jest na ukończeniu. Byłam już na północy w Avernos. Spędziłam ponad dwa miesiące w Celestii, może. wrócę tam jeszcze na tydzień, ale tu już wykonałam swoje zadanie - stwierdziła z rezygnacją. - Są inne kraje. Inne dzieci. Europa jest duża.

Nie mógł się oprzeć, aby jej nie dotknąć.

- Jak długo jeszcze zostaniesz w Roche?

- Kilka dni - wyszeptała. - Może tydzień.

- To nie wystarczy.

- Musi.

Zakończyła dyskusję, znikając w łazience. Pojawiła się chwilę potem ubrana tak jak poprzedniego dnia. Udało jej się związać włosy w koński ogon luźno opadający na kark. Wyglądała profesjonalnie w zapiętym na ostatni guzik służbowym kostiumie. Lander spojrzał na nią i całą jego uwagę przyciągnęła zmierzwiona grzywka.

- Przyślę po ciebie samochód wieczorem - uprzedził. Zagryzła dolną wargę.

- Może powinniśmy sobie zrobić dzień przerwy? Mam opóźnienie w pracy i...

- Praca ci nie ucieknie.

- Nie - przyznała. - Ale dzieci mogą ucierpieć z tego powodu.

To do niego przemówiło.

- Nie chciałbym tego. Jesteś pewna, że mam cię nie podwozić?

- Tak, dziękuję.

- Zadzwoń do ciebie. Jeśli nie możemy się zobaczyć, znajdziesz parę minut na rozmowę.

Uśmiechnęła się blado.

- Zadzwoń do ciebie później - powtórzył. Otworzyła drzwi, schwyciła portmonetkę i już jej nie było. Nie tracił czasu. Ubrał się równie sprawnie jak ona i przywołał windę. Wsiadł do środka. W pustej kabinie myślał tylko o niej. Była taka fascynująca. Dotknął palcem pierścionka, który wziął z muzeum. Ciążył mu w kieszeni.

Zamówił samochód i ruszył nim z piskiem opon. Wyjechał z garażu i skręcił w ulicę przed apartamentowcem. Ku jego zdziwieniu zebrał się tam tłum. Przyglądał mu się, przejeżdżając obok. To, co zobaczył, sprawiło, że gwałtownie zahamował.

Czas jazdy windą na parter zdawał się nie mieć końca. Była głupia, związując się z Landerem. Wiedziała to od początku. Gdy chodziło o Stewarta, mogła się winić za swoją naiwność. Była całkowicie niedoświadczona. Niestety w przypadku Landera taka wymówka nie wystarczała. Zachowała się bardzo głupio. Pozwoliła sobie zakochać się w nim. To był błąd, nie powinna darzyć takim uczuciem mężczyzny, który wkrótce będzie królem.

Drzwi windy się otworzyły i ruszyła żwawo w stronę wyjścia. Obcasy rytmicznie stukały o podłogę holu, odmierzając jej szybkie kroki. Pchnęła drzwi na zewnątrz.

- Jak się pani nazywa? - padło pytanie.

Rumieniec oblał jej twarz i podniosła rękę, aby się zasłonić. Tuzin mężczyzn i kobiet otaczał ją ze wszystkich stron. Kamery i mikrofony były skierowane w jej stronę. Narastał hałas, przenikliwe, pytające głosy, huk bicia jej serca. Szorstkie światło padające na jej twarz wystawiało ją bezbronną na wścibskie spojrzenia. Przeszedł ją zimny dreszcz strachu. Tłum ciał napierał na nią.

- Jak długo spotyka się pani z księciem Landerem?

- Czy jest dobry w łóżku?

- Kim jesteś? Wyglądasz znajomo. Nie jesteś z Verdonii, prawda, skarbie?

O Boże! Chyba nie została rozpoznana? -Proszę...

- Amerykanka - kolejny głos z tłumu. - Na pewno Amerykanka.

Próbowała przejść, ale jej nie dali. Przypominali stado hien, które dopadły samotną gazelę. Poczowała odrażające déjà vu. Inne miejsce, inny czas, ale ten sam szalony tłum pchający się na nią.

- Czy wiesz, że twój ojciec był już żonaty? - Pytanie spadło na bezbronną ośmiolatkę, jaką wtedy była. - Jak to jest być bękartem?

Wspomnienie z przeszłości, choć nawiedziło ją tylko na chwilę, ścisnęło jej serce. Czowała panikę, ciągle była otoczona.

- Nie wiem, o czym mówicie. Muszę iść do pracy.

- Gdzie pani pracuje?

- Czy pracuje pani dla księcia Landera?

- Taka praca by mi nie przeszkadzała. - Wybuch śmiechu towarzyszył tej uwadze amerykańskiej reporterki. -A niech mnie,

chciałabym, żeby mi płacili za spędzenie części dnia w łóżku księcia Landera.

Śmiech urwał się w połowie komentarza kobiety, więc ostatnie słowa zabrzmiały okrutnie i nieprzyjemnie w porannym powietrzu. Zapadła niewygodna cisza, ale Julianna była zbyt zszokowana i zmieszana, by dostrzec jej przyczynę.

I wtedy go usłyszała. Wypowiedział tylko jedno słowo, słowo wyzwolenia, choć brzmiało jak warknięcie.

- Odejść.

Jak jeden mąż reporterzy i paparazzi odsunęli się. Nigdy nie widziała takiego Landera. Stał tam jak Lew z Roche. Jego włosy zsunęły się na twarz niczym grzywa, a światło wydobywało ich jasne pasma. Oczy płonęły dzikim blaskiem, a w każdej linii jego twarzy widać było gwałtowność. Prześliznął się wolno między nimi jak dziki kot i wziął to, co do niego należało - ją. Złapał ją za rękę i poczuła, jak coś wsuwa jej się na palec. Obrócił się razem z nią i stanął na wprost dziennikarzy. Mierzył Ich wzrokiem, a potem jego spojrzenie zatrzymało się na amerykańskiej reporterce.

- Zabierzcie ją. - Ochrona podeszła bliżej. - Zawieźcie na lotnisko i niech odleci pierwszym samolotem.

Rozwścieczona kobieta chciała zaprotestować, ale spiorunował ją wzrokiem.

- W tym kraju nikt nie może traktować mojej narzeczonej bez szacunku. - Podniósł dłoń Julianny do ust i z galanterią złożył na niej pocałunek. - Nikt.



Zanim ktokolwiek zdążył zadać pytanie, otoczył ją ramieniem i zaprowadził do samochodu, który stał na środku ulicy. Silnik był zapalony, a drzwi od strony kierowcy otwarte. Usadził ją na miejscu pasażera, a sam usadowił się za kółkiem. W następnej chwili już jechali otoczeni samochodami ochrony.

- W porządku? - Lander rzucił jej szybkie spojrzenie. -Do diabła, wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Nawet twoje usta są białe. - Zdjął rękę z kierownicy, żeby pogłaskać ją po policzku. - A twoja skóra jest zimna jak lód.

- To było... to było... - Wzięła głęboki oddech, szcękając zębami. - Nie potrafię sobie poradzić z takim tłumem.

- Nikt nie potrafi. Przepraszam. Przysiągłem chronić cię przed tym medialnym cyrkiem i mi się nie udało. - Mięśnie na jego twarzy drgnęły. - Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

- Oczywiście, że się powtórzy.

Pogodzona z losem czuła wewnętrzny strach. Roztrzęsiona złączyła rękę i wtedy nagle zobaczyła pierścionek.

Miała na palcu Pokrewną Duszę, ale nie miała pojęcia, jak się tam znalazł.

- Skąd to?

- Wsunąłem ci go na palec, zanim ogłosiłem nasze zaręczyny.

Z jakichś przyczyn jej mózg nie mógł przyswoić tego wyjaśnienia.

- Nie jesteśmy zaręczeni.

Rzucił jej krótkie rozbawione spojrzenie.

- Teraz jesteśmy.

Poszczególne fragmenty z momentu jej wyratowania zaczęły jej się układać w jakąś całość. Najpierw błyski fleszy reporterów. Jej bezradność i strach. A potem przybył Lander, jej rycerz w lśniącej zbroi. I powiedział... i powiedział... „Nikt nie może traktować mojej narzeczonej bez szacunku”.

Zamknęła oczy. Nazwał ją swoją narzeczoną. I odprawił jedną z reporterek za niegodne zachowanie. Potem podniósł jej rękę. Wciągnęła powietrze w płuca i jej oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Jej lewą rękę. Uniósł lewą dłoń i pocałował, żeby wszyscy widzieli pierścionek, który skrycie włożył jej na palec. Widziała, jak zadziwieni reporterzy z zachwytem włączają kamery, nagrywają i notują, by zachować tą scenę dla potomności. Była wtedy zbyt zagubiona, by zrozumieć znaczenie tego, co się stało.

- Nie. - Rozejrzała się wokół z rosnącym poczuciem desperacji. - Zawróć. Zawróć samochód natychmiast. Nie wiesz, co zrobiłeś. Musimy tam wrócić i wszystko naprawić, zanim będziesz zrujnowany. Musisz powiedzieć prasie, że nie jesteśmy zaręczeni. Proszę, Lander!

Rzucił na nią jeszcze jedno spojrzenie i zaniepokojony powiedział:

- Za dwie minuty będziemy na miejscu. Wytrzymaj jeszcze. Skręcił w drogę wijącą się w stronę pałacu i przejechał przez bramę z prędkością świadczącą o dużej praktyce. Zamknęła oczy w odruchu paniki. Kiedy zwolnili, spostrzegła spod rzęs, że wybrał wąską drogę na tyłach pałacu.

- Tędy - rzekł, gdy wysiedli z samochodu.

Prowadził ją plataniną ścieżek. Po chwili znaleźli się na małej, znajomej polance na końcu ścieżki. Na środku stała altanka, o konstrukcji

ledwo widocznej pod baldachimem białych róż. Powietrze było przesiąknięte ich ciężkim zapachem.

- Tu się wszystko zaczęło.

- To się nie zaczęło tutaj. - Skrócił dystans między nimi. - To było w sali balowej, kiedy cię ujrzałem. Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety.

- Miłość od pierwszego wejrzenia? Już ci mówiłam, nie wierzę w nią. - Głos jej się załamał.

- Nie mów tak. - Przyciągnął ją bliżej. - Uda nam się. Obiecuję.

- Jak? - Odsunęła się od niego. - Nie rozumiesz. Musisz wrócić i powiedzieć tym wszystkim reporterom, że popełniłeś błąd, że tylko żartowałeś o naszych zaręczynach.

- Nie żartowałem i to nie jest błąd. - Choć uwolniła się z jego objęć, nie pozwolił jej się daleko odsunąć. - Poza tym jest już za późno, żeby to cofnąć.

Zamarła.

- Co masz na myśli?

- Ta informacja jest już wszędzie - wyjaśnił. - Gazety, telewizja, internet. Wszystkie media przekazują nowinę. I każdy walczy o to, kto cię pierwszy zidentyfikuje. Wciągnęła powietrze do płuc.

- O Boże! Nie masz pojęcia, co zrobiłeś.

- Dlaczego tak panikujesz?

Przysunął się tak, że oparła się o bok altany. Miękkie białe róże okalały jej twarz i ramiona, podczas gdy winorośl uwięziła jej włosy, delikatnie wplatając się pomiędzy loki uwolnione na szyi i karku.

- Uprzedzałam cię, że są rzeczy, których o mnie nie wiesz.

- Jakie?

Łzy popłynęły jej po twarzy.

- Jestem z nieprawego łoża, Lander. - Nawet teraz, po latach, powracanie do najbardziej traumatycznych wspomnień ciągle bolało. - Miałam osiem lat, kiedy się o tym dowiedziałam, w sposób niewiele się różniący od tego, co działo się dzisiaj pod twoim domem. To był... to był wielki skandal. Moja matka, mój brat... byliśmy rozszarpywani przez prasę.

- Spokojnie, skarbie. Już w porządku.

- Nie, nie jest w porządku!

Zakryła twarz rękami, powstrzymując emocje. Czas, żeby przez to przejść i z tym skończyć. Musi być uczciwa i powiedzieć prawdę. Powoli opuściła ramiona i stała przed nim jak więzień przed plutonem egzekucyjnym.

- Nikt w Verdonii nie zna mojego imienia, ale ta amerykańska reporterka mnie rozpoznała. Kiedy to przemyśli, przypomni sobie, skąd mnie zna. - Ból brzmiał w każdym jej słowie, choć robiła wszystko, by mówić głosem pozbawionym emocji. - Będzie wściekła, bo kazałeś jej wyjechać z kraju. Będzie chciała wyrównać rachunki i świat usłyszy wszystkie brudne szczegóły.

- Jakie?

Zmusiła się, żeby mówić dalej, choć była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiła.

- Nazywam się Julianna Rose... Arnaud. Jestem siostrą Johna.

Większość ludzi w Stanach zna mnie jako Annę Arnaud. Kiedy się wyda, że jestem z nieprawego łoża i siostrą człowieka, który zgromadził majątek

- jak to określa prasa - w niejasnych okolicznościach, będziesz skończony.

Lander objął ją.

- Nie ma znaczenia, kim jest twój brat czy ojciec. Ochronię cię.

- To nie ja potrzebuję ochrony. - Patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Mówisz, że to nie ma znaczenia? Mylisz się. Ma. Nie rozumiesz? Zniszczyłam twoją reputację. To może cię kosztować tron. Nikt w Verdonii nie będzie chciał króla, który poślubił bęk...

Zatrzymał ją w pół słowa, całując tak, jakby nie chciał tego słuchać.

- Nie dbam o to - wyznał między pocałunkami. - Okoliczności twoich narodzin nie mają dla mnie znaczenia.

- Moje pochodzenie jest ważne. Wzruszył ramionami.

- Okej, więc porozmawiajmy. Czy to już wszystko, co powinienem wiedzieć? - Uśmiechnął się do niej z taką czułością, że prawie złamał jej serce. - Jeszcze jakieś wyznania czy skandale, moja przyszła żono?

- Nie słyszałeś? Nie jestem twoją przyszłą małżonką. Nie zapytałeś mnie, a ja nie wyraziłam zgody. To nie jest temat do robienia żartów, Wasza Wysokość.

Otrzeźwiła go, śmiech zamarł w jego oczach.

- Przysięgam, że nie żartuję. Okoliczności twoich narodzin nie mają wpływu na moje uczucia do ciebie. Ani twoje pokrewieństwo z Johnem.

Mój Boże, musi mu powiedzieć wszystko. Inaczej nigdy nie zrozumie.

- Chodzi o coś jeszcze, znacznie gorszego. - Jeśli ma przez to przejść, musi się skoncentrować. Zagłębiła się w równaniu matematycznym, żeby się uspokoić, przechodząc przez nie krok po kroku. Prawie skończyła, gdy Lander się odezwał.

- Czy mogłabyś powiedzieć, co ty właściwie robisz? Zamrugwała.

- Przepraszam? Co mówiłeś?

- Spytałem, co robisz. Mam wrażenie, jakbyś gdzieś odpłynęła.

Minutę temu tu byłaś, a zaraz potem cię nie ma. Zresztą to się zdarza nie pierwszy raz.

- Ach. To.

-Tak?

- Rozwiązywałam równanie różniczkowe drugiego stopnia.

- Drugiego stopnia?

- Tak. To mi pomaga.

- A niech mnie, kobieto, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. No dobrze, posłuchajmy. Jaki był kolejny skandal z twojej przeszłości? Domyślam się, że miał coś wspólnego z pewnym mężczyzną, zwanym Stewartem?

- Obawiam się, że tak. - Zawahała się, niezbyt pewna, co zrobić z rękami. Lander jej to ułatwił. Przyciągnął ją bliżej i przytulił. Łatwiej było się temu poddać, niż protestować. Wypuści ją, jak tylko usłyszy, co ma do powiedzenia.

Położyła głowę na jego ramieniu.

- Pracowałam jako księgowa - zaczęła.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, kiedy się poznaliśmy. Mógłbym ci zaoferować pracę. Nasza główna księgowa, Lauren DeVida, odeszła po śmierci mojego ojca. - Jego głos brzmiał głęboko i kojąco. -

Przypuszczam, że pracowałaś dla swojego brata?

- Byłam główną księgową.

- Widzisz? Miałem rację. Byłabyś idealną następczynią Lauren. I jestem pewien, że byłabyś mi oddana tak jak ona mojemu ojcu.

- Nie byłabym - odparowała - bo nie mieszam już przyjemności z obowiązkami.

- Ach! To wskazuje na wkroczenie Stewarta w twoje życie - zgadywał Lander.

Julianna pokiwała głową.

- To nie jest piękna historia.

- Niech zgadnę. Stewart pracował w centralnym biurze firmy Arnaud i kiedy odkrył, że jesteś siostrą Johna, zaczął się do ciebie zbliżać. To historia stara jak świat, skarbie.

Grymas przebiegł po jej twarzy.

- Dalszy jej ciąg pewnie też cię nie zaskoczy. Postanowił okraść Johna i wykorzystać do tego mnie. Byłam szaleńczo zakochana i nie zorientowałam się, co się dzieje, aż było za późno.

- Domyślam się, że kiedy wszystko się wydało, zostałam oskarżona razem z nim, choć byłaś niewinna.

Zajął jej dłuższą chwilę, zanim znowu mogła mówić.

- Niewiele osób stanęło po mojej stronie z powodu tego, kim był mój ojciec.

-I brat.

Szorstki ton jego głosu zaniepokoił ją.

- Początki kariery Johna mogły być trochę niejasne, ale gdy tylko stanął na nogi, zrobił wszystko, by prowadzić interesy uczciwie. To się stało dla niego punktem honoru.

- Jesteś lojalną siostrą.

- Mam powody. Zawsze robił co w jego mocy, by mnie chronić. A jeśli chodzi o Stewarta, ułatwiłam mu sprawę. Byłam niedbała, jeśli chodzi

o hasła, co umożliwiło mu dostęp do dokumentów w komputerze, których nie powinien widzieć. Pozwoliłam też wyciec informacjom, które były poufne.

- Czy sprzeniewierzył pieniądze?

- Nie, był za sprytny na to, by wziąć pieniądze bezpośrednio z konta Johna. Ale użył wewnętrznej wiedzy, by zapełnić swoją kieszeń. John ma dziesiątki biznesów połączonych w kilkunastu firmach. Stewart zdobył dostęp do danych o oczekujących ofertach i dzięki temu dokonywał korzystnych zakupów i sprzedaży. Zdobył listę klientów, informacje o pracownikach, o bilansie firmy. Wykorzystywał swoją pozycję w firmie dla własnych korzyści. W dodatku wpływał na klientów i przekazywał zlecenia konkurencji.

- Domyślam się, że to ty odkryłaś, do czego zmierza.

- W końcu tak, ale było za późno, żeby to naprawić. Skandal wybuchł w ciągu kilku tygodni. Nic się już nie dało zrobić.

- Twój brat cię zwolnił?

- Sama odeszłam. Nie mogłam doprowadzić do upadku Johna z powodu mojej błędnej oceny. - Zdjęła pierścioneł i oddała go Landerowi.

- Rozumiesz, dlaczego musisz odwołać zaręczyny? Chociaż John potwierdził moją wersję zdarzeń, pozostały podejrzenia, że byłam w to zamieszana. Zwłaszcza że miałam na nazwisko Arnaud, co tylko dodawało podejrzeniom pikanterii.

- Młoda, naiwna kobieta wykorzystana przez doświadczonego łajdaka. Nie jesteś pierwszą osobą, którą to spotkało, i na pewno nie ostatnią. - Wziął pierścień, tak jak się tego spodziewała, a potem zaskoczył



ją, mówiąc: - Zaręczyny są aktualne. I tak dla twojej wiadomości, w moim świecie po zaręczynach następuje ślub.

Jej oczy rozszerzyły się. Nie mógł mówić poważnie.

- Nie możesz.

- Pomyśl, skarbie. Jak by to wyglądało, gdybym pięć minut po ogłoszeniu zaręczyn powiedział, że się pomyliłem. Mają twoje zdjęcia z pierścieniem mojej matki.

Wziął jej lewą dłoń i wsunął z powrotem na palec Pokrewną Duszę.

Jej ręka drżała w jego uścisku.

- Stracisz tron.

- To stracę - odparł nieugięty. - Lepiej to niż honor. Jego ton wskazywał na to, że dyskusja dobiegła końca.

Skinęła głową, ale nie była w stanie się odezwać. Jeśli on nie może zerwać zaręczyn, będzie się musiała tym zająć osobiście.

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

- Nie możesz tego zrobić, Julianno.

- Ależ mogę i zrobię to, John. - Julianna skończyła nakładać puder na twarz, a w uszy włożyła kolczyki z perłami.

- Jeśli Lander odmówił zakończenia tego szaleństwa, muszę to zrobić za niego. Konferencja prasowa się odbędzie.

- Może Montgomery nie jest zainteresowany zakończeniem waszego związku? Może się w tobie zakochał? Może wykorzystuje jedynie sytuację, by zmusić cię do zaręczyn, których nie brałabyś inaczej pod uwagę? Myślałaś o tym? - John przemierzał sypialnię od jednej ściany do drugiej. Po chwili zatrzymał się za jej plecami.

- Wątpliwe. To raczej kwestia honoru, a nie miłości. John chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego tak mówisz?

- Przestań, John. - Wyślizgnęła się z jego ramion. - Tu nie chodzi o miłość i wiesz o tym. Lander czuje się odpowiedzialny. Chciał kontynuować nasz związek, kiedy ja chciałam go zakończyć. Popchnął nas w ten romans. To po prostu naturalne, że kiedy prasa odkryła prawdę, uniósł się honorem i poczuł się zobowiązany do działania.

- Niedorzeczne. Spojrzała na niego.

- Słuchani?

- Mógł znaleźć inne rozwiązanie, gdyby naprawdę tego chciał. Mniej ekstremalne od ogłaszania waszych zaręczyn. - John włożył ręce w kieszenie spodni, pochylił się i zauważył: - Czyż nie powiedziałaś mi, że Lander miał przy sobie pierścionek zaręczynowy swojej matki?

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Ja... nie mam pojęcia, jak on się tam znalazł. - Usiłowała sobie przypomnieć. - Podałam go Landerowi, kiedy byliśmy w muzeum. Sądzę, że włożył go do kieszeni, zamiast odłożyć do gabloty.

- Poczekaj chwilę. Wytłumacz mi to jeszcze raz. Pierścionek jego matki był w muzeum, tym narodowym w Roche?

- Tak. Pokazywał mi królewskie klejnoty przez parę godzin.

John uniósł dociekliwie brwi.

- Tylko pokazywał? Jeśli to był tylko pokaz, jak to się stało, że pierścionek znalazł się poza gablotą?

- No dobrze. - Uniosła ręce w geście obrony. - Może przymierzałam niektóre.

Uśmiechnął się szeroko.

- Chcesz powiedzieć, że Montgomery pozwolił ci ponosić królewskie klejnoty Verdonii?

- Tak jakby. - Zaczerwieniła się po uszy. - Przecież to nic wielkiego.

- Ależ przeciwnie! To ma duże znaczenie. Czy zdajesz sobie sprawę, jak są kosztowne i cenne? - John spojrzał na jej dłoń i zmarszczył brwi. - A mówiąc o pierścionku zaręczynowym, gdzie on jest?

- Odesłałam go z powrotem.

- Cholera, Julianno!

Odwróciła się plecami do brata i zaczęła upinać włosy w gładki koczek. Ruch ten przywołał jej w pamięci obraz, jak Lander zdjął jej klamerkę z włosów. Zawahała się i pozwoliła kosmykom się wymknąć i opleść ramiona i twarz. Może nie będzie upinać dziś włosów? Ten jeden raz.

John stanął za nią.

- W porządku. Nie będę z tobą debatował nad tą sprawą ani wyjaśniał ci, dlaczego jesteś największą idiotką, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jednak zastanawia mnie, po co Lander wetknął pierścionek do swojej kieszeni, zamiast odłożyć go do gabloty. Naprawdę nie jesteś ciekawa?

- Nie. Nie jestem. - Spojrzała na swoje odbicie. Była żałosna. Jedynym powodem, dla którego chciała zostawić rozpuszczone włosy, było to, że takie podobały się Landerowi. Zebrała wszystkie kosmyki i natychmiast upięła je gładko. - Może ukradł ten pierścionek?

- Bardzo śmieszne. - John pochylił się i wyszeptał jej prosto do ucha: - Może zabrał go, ponieważ od początku planował się oświadczyć?

Nadzieja zapłonęła w niej wysokim płomieniem. Czy to możliwe? To by wyjaśniało, dlaczego trzymał pierścionek w kieszeni.

Nie, nie, nie. Nie może sobie pozwolić na takie myślenie. Potrząsnęła głową. Chciała się skupić na jednym, jedynym celu, jakim było ochronienie Landera.

- Muszę już iść. - Stała twarzą do brata. Nie rozumiała, dlaczego John tak na nią naciskał. Westchnęła.

- Czego chcesz, John? Tak naprawdę?

- Chcę, żebyś się trzymała z dala od prasy, choć przez kilka dni. Pozwól tej sytuacji samej się rozwiązać.

- Chodzi ci o to, żebym nic nie robiła? - Nie mogła uwierzyć, że proponował takie rozwiązanie. - Zawsze mnie uczyłeś, że jeśli się pojawi jakiś problem, powinnam się natychmiast starać go rozwiązać i nie dać mu

szansy eskalować. I to właśnie robię. Poza tym jeśli nie będę działać teraz, Lander poniesie konsekwencje.

- Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. I sądzę, że Lander potrafi cię uszczęśliwić.

Jej głos złagodniał.

- To miłe, szczególnie biorąc pod uwagę twoją wcześniejszą opinię. - Wspięła się na palce, żeby go pocałować. - Dzięki za troskę.

- Nie zamierzasz posłuchać mojej rady, prawda?

- Nie mogę. To zbyt duże ryzyko.

Spojrzała ostatni raz w lustro. Zdecydowała się włożyć swoją najbardziej konserwatywną sukienkę w czarnym kolorze, rozjaśnioną jedynie sznurem pereł i dopasowanymi do nich kolczykami.

Zminimalizowała również makijaż, ograniczając się jedynie do delikatnego różu na policzkach, tuszu na rzęsach i śladu błyszczyka na ustach. Zadowolona z siebie chwyciła torebkę i obróciła się do wyjścia.

- Idziesz? - spytała brata. - Czy jestem z tym sama?

- W życiu bym tego nie przegapił. Jeśli mnie potrzebujesz, będę stał za tobą.

Jej usta wykrzywił grymas.

- Czając się w cieniu? Opuścił ramiona.

- Zrobię, co do mnie należy.

Szła miarowym krokiem przez lobby. Media otaczały hotel. Widziała podwójne szklane drzwi, a za nimi ochroniarzy ubranych w mundury.

Pilnowali, by dziennikarze nie szturmowali jej apartamentu. W chwili, kiedy przekraczała próg, poczuła jakieś szarpnięcie i nagle jej włosy się

rozsypały. A niech to! Straciła spinę do włosów i nic nie mogła na to poradzić.

Kiedy stanęła na podeście schodów, powiew wiatru poruszył jej rozpuszczone włosy. Zmusiła się, by zrobić krok naprzód. Spojrzała na morze dziennikarzy. Zdała sobie sprawę, że to byli nie tylko reporterzy, ale również mieszkańcy pragnący wesprzeć prasę. Jak się dowiedzieli, że ona tu będzie, że zamierza zwołać konferencję prasową? Ktoś musiał dać im cynk.

Hałas ucichł dopiero, kiedy podniosła rękę do góry.

-Dziękuję, że przyszliście. - Zawahała się chwilę. -Chciałabym wygłosić oświadczenie, po którym nie będę odpowiadała na żadne pytania.

Poczuła, że może to zrobić.

- Jestem tu, aby ogłosić, że oficjalnie zrywam swoje zaręczyny z księciem Landerem. Chciałabym zapewnić wszystkich, że jestem zaszczycona propozycją Jego Wysokości. Chciałabym... - Ku jej przerażeniu głos jej się załamał i upłynęła chwila, zanim odzyskała nad nim panowanie. - Chciałabym, aby okoliczności były inne. Księżę Lander nie miał pojęcia, jaka jest moja prawdziwa tożsamość, kiedy mi się oświadczał. Używałam swojego pierwszego imienia. - Skłoniła głowę. - Byłam niemądra. Powinnam była powiedzieć mu prawdę, kiedy się poznaliśmy. Wytłumaczyć, dlaczego poważny związek nie jest możliwy. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się smutno. - Mam nadzieję, że niektórzy z was rozumieją, jak się czuję. Chciałam, choć przez chwilę, uwierzyć w piękną bajkę. Uwierzyć, że mogę spotkać prawdziwą miłość. To było samolubne i nierozważne z mojej strony, nie wspominając, jak bardzo było nie w porządku wobec księcia Landera. I dlatego chcę przeprosić jego,

państwa i wszystkich mieszkańców Verdonii. Powinnam była odmówić księciu od razu. Nie zrobiłam tego. Znalazł się w tej sytuacji wyłącznie z mojej winy.

- Wciąż nie podałaś nam swojego imienia - krzyknął jeden z dziennikarzy

Głęboko wciągnęła powietrze i spojrzała na tłum w świetle zachodzącego słońca.

- Nazywam się Julianna Rose... Arnaud. - Złożyła dłonie. - Większość z was zna mnie jako Annę Arnaud.

Zaczęły padać gniewne pytania, jedno po drugim. Uniosła ręce do góry.

- Nie mam nic do dodania. Możecie być pewni, że ksiązę Lander nie był świadomy tego, kim jestem, kiedy ogłaszał nasze zaręczyny. To była moja wina i teraz próbuję to naprawić. Jeszcze raz dziękuję za przybycie.

Uciekła do budynku, trzymając się blisko Johna. Postąpiła właściwie, nawet jeżeli bolało bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić.

- To najlepsze rozwiązanie - powiedziała do brata, kiedy czekali na windę.

- To dlaczego płaczesz?

Uniosła dłoń do policzka zaskoczona, że jest mokry. Dziwne. Nawet nie zauważyła, że płakała.

Lander stał twarzą w twarz z przedstawicielami prasy. Był spokojny. Wszyscy pełni szacunku czekali, co powie. Żaden nie wykrzykiwał komentarzy ani nie zadawał pytań, tak jak to robili przy Juliannie. Denerwowało go, że jemu okazywali szacunek, którego jej odmówili.

- Dziękuję za przybycie. - Zawahał się przed tym wyznaniem. -

Wygląda na to, że potrzebuję waszej pomocy.

To otwarte oświadczenie zostało powitane pomrukiem zaskoczenia i kilkoma zachęcającymi uśmiechami. Jak dotąd, nie najgorzej.

- Moja narzeczona, Julianna Arnaud, odniosła mylne wrażenie, że mieszkańcy Verdonii nie zaakceptują jej jako mojej żony. Chciałbym się przekonać, co możemy zrobić, aby to zmienić.

- My? - zapytał jeden z reporterów.

- Tak. My. Obywatele Verdonii. Julianna sądzi, że jej pochodzenie jest piętnem. Zapewniałem ją wielokrotnie, że nie jest to prawdą. Ludzie w Verdonii nie oceniają innych na podstawie ich pochodzenia.

Jeden z dziennikarzy podniósł rękę.

- Wasza Wysokość, nazwał pan panią Arnaud swoją narzeczoną. Czy to oznacza, że zaręczyny nie zostały zerwane?

Teraz została nazwana panią. Nie tak się do niej odzywali podczas jej konferencji.

- O ile wiem, nie zostały zerwane. Panna Arnaud ma wprawdzie inne zdanie na ten temat - Lander się uśmiechnął - ale chciałbym spróbować je zmienić.

- Nie rozumiem, Wasza Wysokość - odezwał się mężczyzna stojący z przodu. - Czego pan oczekuje od obywateli Verdonii?

- Po pierwsze chciałbym przedstawić wszystkim Julianę Arnaud. Kobieta, która jest uprzejma, inteligentna i pełna współczucia. Która wyżej ceni honor niż własny interes. Jej wczorajsza konferencja prasowa dowodzi, że miała na względzie wyłącznie dobro moje i mieszkańców tego kraju. - Pochylił się do przodu. - Julianna, będąc wrażliwą ośmiolatką,



odkryła, że jej ojciec jest oszustem występującym w przebraniu biznesmena. Odkryła również, że prowadzi podwójne życie i ma dwie rodziny. Jedną legalną, a drugą nie. Przez kolejne trzynaście lat była oceniana przez pryzmat tego.

Kobieta w tłumie podniosła rękę.

- Według mnie nie ma znaczenia, w jakich okolicznościach przyszła na świat, ale inny aspekt jej przeszłości owszem. Z pewnych źródeł wiem, że była podejrzana o pomoc kochankowi w okradaniu swojego brata. A to mnie martwi i sędzę, że większość mieszkańców Verdonii również. Proszę o komentarz.

- Po pierwsze, panna Arnaud i wspomniany mężczyzna nie byli kochankami - przerwał, żeby nadać odpowiednią moc temu oświadczeniu.

- Po drugie, nigdy mu nie pomagała ani nie zdawała sobie sprawy z tego, co on planuje. Była skrupulatnie sprawdzona przez władze i oczyszczona ze wszystkich zarzutów. Jednak została potępiona przez opinię publiczną za to, że była jedną z rodu Arnaud. Najgorsze, o co możecie ją oskarżyć, to nadmiar naiwności.

- Dlaczego przebywa w Verdonii? - zapytał kolejny reporter.

- Cieszę się, że pan o to pyta. - Miał nadzieję, że to pytanie padnie. - Julianna pracuje dla Aniołów Arnauda, organizacji charytatywnej dostarczającej sprzęt medyczny dla dzieci. Jeśli sprawdzicie, dowiedziecie się, że Verdonia jest beneficjentem wielkoduszności Aniołów, w tym w dużej mierze zawdzięczamy to Juliannie.

- Czego pan oczekuje po tej konferencji, Wasza Wysokość? - padło ostatnie pytanie.

Odpowiedział z absolutną szczerością:

- To jest kobieta, którą pragnę poślubić. Mam nadzieję, że mieszkańcy Verdonii potrafią zrobić to, czego ja nie umiem. Pozwólcie Juliannie dowiedzieć się, co czujecie. Że jest mile widziana jako księżniczka. - Trzymał w ręku pierścionek zaręczynowy. Pozwolił, by światła reflektorów oświetliły cudowny ametyst. - Chciałbym, abyście mi pomogli włożyć ten pierścionek z powrotem na jej palec.

Julianna gwałtownie otworzyła drzwi. W tej samej chwili, w której zobaczyła, kto stoi w drzwiach, nabrała głęboko powietrza.

- Ty... Ja... - Wskazywała ręką na telewizor w pokoju, w którym po raz setny odtwarzała konferencję prasową Landera.

Minął ją i wszedł do pokoju. W końcu udało jej się wyśłowić.

- Czy straciłeś rozum? - wybełkotała. Uniósł brwi.

- Jeśli zamierzasz mówić do mnie w taki sposób, to chyba wolałbym, żebyś używała zwrotu Wasza Wysokość.

- Sądzisz, że jestem niegrzeczna? Próbowałam to wszystko naprawić. Chciałam ochronić twój honor. - Wskazała drżącym palcem ekran. - Dlaczego zrobiłeś to... po tym jak przeszłam przez piekło, żeby położyć kres tym fałszywym zaręczynom?

- Ponieważ nigdy nie uważałem naszych zaręczyn za fałszywe. Może najwyżej przedwcześnie. - Zbliżył się do niej i zdała sobie sprawę, że jest w klatce z lwem, który próbuje ją dopaść. Pociągnął ją na brzeg kanapy.

Był zbyt blisko niej.

- Jak sądzisz, co teraz będą myśleli ludzie?

- Podejrzewam, że wszyscy będą błędnie uważać, że jesteśmy zaręczeni. Poza tym przegrasz wybory - dodała bezbarwnym głosem.

Gwałtowność jego reakcji przestraszyła ją.

- Zamierzam ci to powiedzieć po raz ostatni i zamknąć ten temat raz na zawsze. Mój związek z tobą nie ma wpływu na wynik wyborów. Czy to jest jasne?

Skinęła głową.

- Czy możemy zamknąć ten temat?

- Niezupełnie - ośmieliła się odpowiedzieć. - Mam jeszcze pytanie.

- Jedno, ostatnie. - Skrzyżował ręce na klatce piersiowej. - Pytaj.

- Dlaczego uważasz, że to nie ma wpływu na wynik wyborów?

- Ponieważ w ciągu najbliższych kilku tygodni wszyscy w Verdonii zakochają się w tobie. Gwarantuję. To, co dzisiaj widziałaś, to dopiero początek.

Chciała mu uwierzyć. Pragnęła tego najbardziej na świecie. Jednak nie śmiała marzyć. Tego typu zachowania nie zmieniają się, nawet na rozkaz króla.

- Jak możesz być pewny tego, że twój lud mnie zaakceptuje? - spytała.

W jego spojrzeniu znalazła tyle czułości, że się rozpląkała.

- Wszystko, co mówiłem, jest prawdą. Jesteś uprzejma, inteligentna i pełna współczucia. A przede wszystkim jesteś człowiekiem honoru. Jeśli ludzie zobaczą twoje prawdziwe oblicze, zdadzą sobie sprawę, że nie tylko do nas pasujesz, ale że cię potrzebujemy.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Miała ściśnięte gardło. Biorąc jej dłoń w swoją, wsunął jej na palec pierścionek zaręczynowy. Chciała zaprotestować, ale uciszył ją gestem i powiedział:

- Nie odmawiaj. Wysłuchaj mnie najpierw.

- To jakieś szaleństwo, Lander. Wszystko dzieje się za szybko.

- Mylisz się. Naprawdę pragnę cię poślubić i sędzę, że ty też tego pragniesz. - Podniósł ją do góry i wziął w ramiona. Byli jak brakujące elementy układanki. Razem tworzyli cały obrazek. Pogładził ją po policzku, bawiąc się jednocześnie lokiem, który wymknął się z zapięcia.

- Nie musimy się spieszyć, Julianno. Przecież nie musimy się pobierać jutro ani nawet za tydzień. Włóż pierścione. Jeśli w międzyczasie zdecydujesz, że nasz związek cię nie satysfakcjonuje, każde pójdzie w swoją stronę.

Bała się uwierzyć w to wszystko, czy choćby tylko mieć nadzieję.

- Wszyscy są ciekawi, czy włożysz ten pierścionek, czy nie. A więc: wszystko albo nic, kochanie. Właśnie tu i teraz możemy potwierdzić nasze zaręczyny albo ogłosić, że są nieważne i się rozejść na zawsze. Decyzja należy do ciebie.

-Ale...

- Tak wygląda moja oferta. - Przytrzymał jej wzrok swoim. Jego oczy błysnęły intensywną zielonkawozłotą barwą. - Zaryzykuj, Julianno. Zaufaj mi.

O Boże! Zaufać? Użył tego słowa. Przytuliła się do niego, zamykając oczy.

- Co się stanie, jeśli się nie uda?

- Odejdiesz, a ja nie będę cię zatrzymywał. - Otworzyła oczy.

Zauważyła, że głębokie bruzdy wokół jego ust wygładziły się, złagodniały.

- Mam nadzieję, że nie odejdiesz.

To wyznanie spowodowało, że radość wypełniła jej serce. Radość, którą tak długo powstrzymywała. Jednak istniała jeszcze jedna sprawa, która ją martwiła.

- Jest jeszcze coś, o czym muszę wiedzieć. I nie dotyczy wyborów -  
dodała pośpiesznie.

- Dlaczego mam przeczucie, że nie spodoba mi się twoje pytanie?

- Dotyczy Johna.

- Aha - zauważył cierpko.

- Nie lubicie się, prawda?

Lander wzruszył ramionami.

- Różnimy się.

- Więc... co on robi w Verdonii? Jeśli nie jesteście przyjaciółmi,  
dlaczego on tu jest?

Twarz Landera przybrała bezbarwny wyraz, napęlniając ją  
najgorszymi obawami.

- Zakładam, że przyjechał, by się zobaczyć z tobą.

Coś tu nie gra. John ją uwielbiał, nie miała co do tego żadnych  
wątpliwości. Jednak dużo bardziej uwielbiał robić interesy. Jeśli się tu  
znalazł, to musi to oznaczać, że przyciągnęły go do Verdonii inne sprawy  
niż tylko namawianie jej do powrotu do pracy w centrali firmy.

- Powiedz mi, Lander, czy prowadzicie ze sobą jakieś interesy?

- Powinnaś o to spytać swojego brata. Poczula, jak jej serce tonie.

- Traktuję tę odpowiedź jako „tak”. Kiedy tańczyłam z nim na balu,  
on... ostrzegał mnie przed tobą. Ostrzegał, że powinnam się trzymać od  
ciebie z daleka. - Skrzywiła się.

Zauważyła uśmiech satysfakcji na jego twarzy.

- Ale go nie posłuchałaś.

- Nie, nie posłuchałam. - Ścisnęła jego ramiona. Ametyst w jej  
pierścionku połyskiwał czerwono-niebieskimi ognikami. - Chciałabym,

żebyś mi powiedział prawdę. Czy nasz związek wpłynie negatywnie na wasze wspólne interesy?

Patrzył na nią przez długą chwilę, zaciskając zęby z wewnętrznego napięcia. Oczy mu pociemniały z nadmiaru emocji, których nie umiała rozszyfrować, i to ją przerażało.

- Nie.

Julianna nie umiała zamaskować ulgi.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Jego odpowiedź była krótka i tak ostra, że się zastanawiała, czy go znowu nie obraziła. Ale po chwili pochylił się i złożył na jej ustach pocałunek, zamykając w ten sposób dalszą dyskusję. Oboje upadli na kanapę i Julianna zatraciła się w jego objęciach. Może jakoś się to ułoży. I chociaż nie wyznał jej, że ją kocha - co było jedyną ciemną chmurą na horyzoncie ich przyszłości - po raz pierwszy od lat była gotowa komuś zaufać.

Lander otworzył swoją komórkę i wybrał numer.

- Załatwione - oświadczył, gdy tylko John podniósł słuchawkę.

- Włożyła pierścionek?

- To właśnie oznacza słowo „załatwione”, Arnaud - rzucił krótko, niemal niegrzecznie Lander. Starał się zachować spokój i dystans. - Jeśli twój plan nie wypali i przez to Julianna zostanie zraniona, znajdę sposób, żebyś za to zapłacił.

- Upewnij się, że Julianna nic nie wie o naszym kontrakcie, a wtedy nie zostanie zraniona. Pragnę jej szczęścia - powiedział ochryple. - Z jakiejś przyczyny uszczęśliwiasz ją właśnie ty. Wracając do kontraktu, nie

podpiszemy go, dopóki się nie pobierzecie. Sugeruję więc, żebyś się skupił na przygotowaniach do ślubu.

- Do diabła. Obiecałem jej czas.

- Masz tyle czasu, ile potrzebujesz... Oby nie przekroczył końca miesiąca. Julianna nie jest głupia. To nie może trwać wiecznie, bo się zorientuje, że coś kombinujemy. Doprowadź ją do ołtarza najszybciej, jak to możliwe.

Lander zakończył rozmowę, pragnąc cisnąć telefonem w najbliższą ścianę. Co z jego honorem? Nie był pewien, kim był bardziej zdegustowany, sobą czy Johnem. Jedynym pozytywnym aspektem tej gry było to, że miał Julianę. Nie był typem mężczyzny, który by pozwolił, aby serce rządziło głową. Ale pragnął jej i nie mógł się doczekać, kiedy zostanie jego żoną.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

- Wasza Wysokość, proszę. - Krawcowa nerwowo machała rękami za plecami Landera, kiedy wszedł do sypialni. - Oglądanie sukni panny młodej przed ceremonią przynosi pecha.

- Ależ mogę ją oglądać, Peri. To jest mój pałac i ja tu ustaliam zasady.

W pokoju wybuchło zamieszanie. Lander szeroko się uśmiechnął, kiedy asystentka się przewróciła, próbując zebrać materiały i starając się za wszelką cenę zasłonić Julianę. Najpierw usłyszał trzask zza prowizorycznej kurtyny. Zaraz potem stłumione głosy, dźwięk rozdieranego jedwabiu i wreszcie głośnie przekleństwo.

- Lander, co ty tu robisz?

Roześmiał się, słysząc z jednej strony rozdrażnienie w głosie swojej przyszłej żony, a z drugiej widząc szok na twarzach krawcowej i jej asystentki.

- Przyszedłem do ciebie.

- Widzieliśmy się pół godziny temu. Nie mogłeś poczekać, aż skończę?

- Nie mogłem. - Opadł ostrożnie na sofę. - Właśnie przeczytałem najnowsze gazety i chciałem się z tobą podzielić wiadomościami.

- Staram się unikać gazet i na razie mi się to udaje. Zwykle znajduję w nich informacje wpędzające mnie w depresję.

Skrzywił się, kiedy napomknęła o swojej podatności na zranienia.

- Te nie są nieprzyjemne. Właściwie od czasu naszych konferencji artykuły w prasie są zachwycające. Na przykład... - Przejrzał gazety i



wybrał jedną. - Zapewne będę pierwszą osobą, która poinformuje cię, że jesteś oficjalnie nazwana kotką.

Asystentka upuściła materiał, który trzymała, odsłaniając ręcznie malowany parawan. Julianna w pośpiechu próbowała się przed nim schować. Delikatnie upięte włosy wyrwały się z zapięć i opadły jej na ramiona. Zachwycił się tym widokiem.

- Kotką? - Uniosła brwi do góry. - Rozumiem, że ty jesteś kotem?

- Mhm.

- Doprawdy? - Udawała rozczarowaną. - Sądziłam, że jesteś lwem.

- Kot, lew. - Wzruszył ramionami. - Jeśli ci się nie podoba to przewisko, to może cię zachwyci Anna Aniołek? To jest nawet bardziej popularne.

Chwyciła się brzegu parawanu i mógł dostrzec ostrzegawcze błyski w jej oczach.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, o czym ty mówisz? Trzymał w ręku stertę gazet.

- Mówiłem już, mam tutaj kilka artykułów na twój temat.

- Te wszystkie artykuły są o mnie? - zapytała z niedowierzaniem w głosie.

- Cóż, o mnie również. Przynajmniej tak myślę, że gdzieś jest mowa i o mnie.

Okrażyła parawan, podczas gdy asystentka Peri krzątała się po pokoju, udając, że nie słucha ich rozmowy.

- Próbujesz mi powiedzieć, że prasa pisze miłe rzeczy na mój temat?

- spytała z niedowierzaniem. - Musiałeś coś źle przeczytać.

- A właśnie, że dobrze. - Przeglądał dalej gazety. - Tu mam coś ciekawego. Cytuję: „Przyszła księżniczka Verdonii, Anna Aniołek Arnaud, ma cały kraj u swych stóp. Stojąc przed tłumem dziennikarzy i mieszkańców, Anna Aniołek potwierdziła swoje zaręczyny z Landerem Szczęściarzem”. O! Tutaj piszą o mnie. Widzisz? Ja jestem znany jako... do diabła, mam nadzieję, że Merrick i Miri nie czytają tego. „Lander ugodzony przez miłość” i „Lander, pan miłości”.

- Mają odwagę nazywać cię w ten sposób? - zapytała Julianna. - I jeszcze oddychają?

- Oddychają, ale ledwo ledwo. Pozwól mi przeczytać najlepszą część tego artykułu. Gdzie to było? O, jest. Cytuję dalej: „Wszyscy w Verdonii zachęcali pannę Arnaud, aby przyjęła oświadczyzny księcia Landera. Teraz, kiedy ma już zaręczynowy pierścionek na palcu, świętują dobre nowiny”. Widzisz, artykuł jest pochlebny.

- Nie rozumiem - powiedziała szczerze zdziwiona. -Zwykle publikowali same skandale.

Rzucił gazety na bok i wstał.

- Ludzie przyjeżdżają z całej Verdonii, kochanie. Wszystko z powodu twojej dobroci.

- Pomogła pani tak wielu naszym dzieciom - dodała jedna z asystentek.

- Wspierają panią nawet mieszkańcy Avernos - zauważyła krawcowa. -I powinni.

Lander zachichotał.

- Założę się, że von Folke skręci się z zazdrości. Ile bym dał, żeby to zobaczyć.

- A teraz, Wasza Wysokość - krawcowa wskazała ręką na drzwi - powinien pan wyjść. Chcemy dokończyć swoją pracę.

- Tak, tak. Już wychodzę. - Zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, kilkoma susami pokonał pokój, wpadł za parawan i złożył na ustach Julianny długi pocałunek.

Gdy ją puścił, krawcowa i jej asystentki otoczyły Landera, poganiając go do wyjścia. Prawie im się udało, kiedy zauważył stos jedwabiu złożony na jej łóżku.

- Co to jest? - zapytał, kierując się w stronę łóżka.

- Koszule nocne. Proszę, Wasza Wysokość... Odwrócił się na pięcie i zaczął przeglądać stertę materiałów.

- Nie wyjdę, dopóki nie zobaczę, co tutaj macie. - Chwytał kolejne tkaniny i przyglądał im się wzrokiem znawcy. - Ta mi się podoba. Zdecydowane tak. Ta jest idealna. Świetny kolor. Proszę, o Boże... - Trzymając w ręku jedną z koszul, słusznie zaniepokojony wydusił:

- Jeśli cię w tym zobaczę, zerwę to z ciebie i wrzucę prosto do ognia.

- W takim razie ubiorę się w nią w dniu naszego ślubu - odparowała.

- Ha! - Przechylił głowę. - Dobry plan. W porządku. A więc za dwa tygodnie możesz to włożyć.

- Dwa tygodnie! - rzuciła Julianna zza parawanu. - O czym ty mówisz? Dwa tygodnie?

- Nie wspominałem ci? - zapytał z największą swobodą, na jaką go było stać. - Mamy oficjalną datę ślubu,

- To musi być jakaś pomyłka - zaczęła. Odkładając koszule nocne na łóżko, przerwał jej.

- Szanowne panie, czy mogę was na chwilę przeprosić? -

Krawcowa wraz ze swoimi asystentkami bez słowa zniknęły z pokoju. -  
Jakiś problem?

- Co się stało z naszym czasem? Mieliśmy mieć spokojny i długi okres narzeczeństwa.

Zbliżył się do niej i chwycił za koniec paska. Jednym, szybkim ruchem rozwiązał suknię.

- Możemy poczekać, jeśli tego właśnie chcesz. - Wsunął dłonie pod jej suknię i objął ją w talii. - Pomyślałem, że termin będzie dla nas dogodny.

- Dlaczego tak prędko? Wzruszył ramionami.

- To będzie świetny powód, aby kraj skoncentrował się na czymś innym niż śmierć mojego ojca. Zamiast się pograżać w żałobie, będzie miał możliwość świętowania. To także odciągnie uwagę od kryzysu związanego z ametystami, dając mi czas na zgłębienie problemu bez zamartwiania się zainteresowaniem mediów.

- A wybory? - Spojrzała na niego badawczo. - Nasze małżeństwo pomoże również w tym?

- Teraz to ty wygrasz wybory dla mnie. - Roześmiał się szczerze ubawiony. - Pragnę ci przypomnieć, że zaledwie kilka dni temu byłaś pewna swojej odpowiedzialności za moją przegraną.

Rzuciła mu zaczepne spojrzenie.

- Hej, to było, zanim się stałam kotką. Żenisz się ze mną i wygraną masz w garści.

Wzięła głęboki oddech, spuszczaając głowę i próbując ukryć szczęście.

- W takim razie wygląda na to, że zostało nam czternaście dni, aby zorganizować ślub. Może lepiej poproś Peri z powrotem. Mamy masę spraw do załatwienia, jeśli chcemy być gotowi na czas.

- Później. - Zamknął jej usta długim pocałunkiem, jednym z tych, przy których zupełnie traciła kontrolę. - Zdecydowanie później.

Kiedy Lander w końcu opuścił pokój Julianny, uświadomił sobie, że podczas gdy dla jego narzeczonej dwa tygodnie do ceremonii zaślubin to tak mało, dla niego było to czekanie w nieskończoność. Bał się tylko, żeby się nie dowiedziała o nikczemnej transakcji, jaką zawarł z Johnem. Odeszłaby z pewnością, gdyby poznała prawdę przed ślubem. Do diabła, uciekłaby, a Verdonia byłaby zrujnowana.

Zdesperowany pokręcił głową. W pierwszej kolejności powinien się martwić o swoich podwładnych, o przyszłość gospodarki swojego kraju. Jednakże nie mógł przestać myśleć o Juliannie. Gdyby się dowiedziała prawdy, byłoby to gorsze od wszystkiego, czego wcześniej doświadczyła. Jak potwornie musiała się czuć, słysząc, że jest nieślubnym dzieckiem. Zdrada Stewarta i związany z nią publiczny skandal były jeszcze gorsze. Ale to... to by ją zniszczyło. I to wszystko byłoby jego winą.

Blask światła obudził Juliannę w dniu jej ślubu. Błyskawicznie otworzyła oczy. Deszcz dzwonił o szyby. Wiejący wiatr daremnie próbował wtargnąć do jej sypialni. Zanim zdążyła zrobić cokolwiek oprócz wydania z siebie jęku przerażenia, zamigotały światła nad jej głową i do pokoju wkroczył cały pluton zdecydowanych, krzątających się kobiet z Rachel, macochą Landera, na czele.

- Idealna pogoda na ślub - oświadczyła. - Wspaniały znak. Julianna usiadła na łóżku, podciągając kolana pod brodę i omiatając intruzów

zaspanym, rozdrażnionym spojrzeniem. To byli wszyscy członkowie rodziny Montgomerych. Taka była ich tradycja: pomóc panie młodej przygotować się do ślubu i dotrzymać jej towarzystwa. Chętnie przyjęła ich obecność.

- Czy ulewa w dniu mojego ślubu jest szczęśliwym znakiem? -  
Ziewnęła w połowie pytania.

- Bez dwóch zdań. - Wszystkie kobiety zgromadzone w pokoju skinęły twierdząco. - Deszcz w dniu ślubu oznacza błogosławieństwo, płodność i wielkie bogactwo.

Julianna niepewnie wyjrzała przez okno. Rachel podeszła i usiadła na krawędzi jej łóżka.

- Zwykle to matka powinna przejąć obowiązki, które ja dziś wypełniam - powiedziała, biorąc dłonie Julianny w swoje. - Lander powiedział mi, że twoja matka umarła, gdy miałaś zaledwie dziesięć lat. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że ją dzisiaj zastępuję.

Julianna ścisnęła jej dłoń.

- Absolutnie. Tak naprawdę to jestem bardzo wdzięczna. Dzięki tobie jest znacznie milej.

Rachel pojaśniała i pociągnęła Julianę za rękę.

- Wstawaj. Nie masz pojęcia, ile rzeczy musimy zrobić, zanim się znajdziesz na czas w kaplicy.

Pierwszym punktem planu Rachel było zjedzenie śniadania z Julianną oraz jej córką, przyrodnią siostrą Landera, Miri. Te dwie kobiety były niewątpliwie matką i córką. Obie miały proste włosy w kolorze głębokiej czerni. Obie miały te same niezwykle zielone oczy i nieskazitelną cerę i obie były zachwycająco szczerze i otwarte.

Julianna, ku swemu zaskoczeniu, wyczuła między nimi pewne napięcie i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to nie są zwykłe spory, ale wyczuwalna nić niechęci wskazująca na dezaprobatę dla jej ślubu. Jeśli to było przyczyną napięcia, Julianna była skłonna to zrozumieć. Zaledwie kilka razy miała okazję rozmawiać z Rachel. Miri widziała po raz pierwszy. Bez wątpienia nie pochwalały pośpiechu, z jakim ceremonia została zaplanowana.

Odczekała, aż zostaną obsłużone, a potem zaczęła ze zwykłą sobie szczerością:

- Nie pochwalacie tego, że Lander i ja pobieramy się tak szybko?

Kobiety spojrzały na nią zaskoczone.

- Nie - powiedziały jednocześnie. Rozładowało to napięcie i wszystkie trzy zaczęły się śmiać. Rachel, pochyliwszy się nad stołem, pogłaskała ramię Julianny.

- Nie można kontrolować miłości. Ani szybkości, z jaką ona przychodzi. Ojciec Landera i ja znaleźliśmy się tylko tydzień przed jego oświadczynami. Merrick poznał narzeczoną nie więcej niż dwa tygodnie przed ślubem. A teraz nigdy nie widziałam bardziej zakochanej pary.

Julianna dostrzegła szczerość w głosie starszej kobiety.

- Jestem szczęśliwa, patrząc na ciebie i Landera, i życzę wam wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję. - Z ulgą odwróciła się do Miri. - Lander ciągle o tobie mówi. Przykro mi, że nie miałyśmy okazji spotkać się wcześniej. Nie było cię?

Zrozumiała, że poruszyła czułą strunę. Obie kobiety aż podskoczyły zszokowane i wymieniły przestraszone spojrzenia.

Julianna zmarszczyła brwi. Nie odgadła, co jest przyczyną napięcia, które wyczuwała od początku rozmowy.

- Moja córka przebywała na krótkich wakacjach - gładko wyjaśniła Rachel.

Podbródek Miri zadrżał ze zdenerwowania. Prowokacyjnie odrzuciła w tył długie włosy.

- Właściwie byłam ukrywana na Wyspach Karaibskich po tym, jak pomogłam Merrickowi porwać jego obecną żonę.

- Miri!

- Daj spokój, mamó. Założę się, że Lander jej o tym mówił. - Rzuciła Juliannie wyzywające spojrzenie. - Prawda?

Julianna wytarła usta serwetką. Tego było za wiele. Niechcący, jednym zwyczajnym pytaniem otworzyła istną puszkę Pandory.

- Powiedział mi, że Merrick porwał Alyssę i skończyło się to wielką miłością. Nie wspomniał o twoim udziale w tej sprawie.

- Zająłam miejsce Alyssy przed ołtarzem, żeby dać Merrickowi czas na ucieczkę.

Julianna siedziała z otwartą buzią. Zaskoczona podniosła filiżankę i zatopiła nos w zapachu herbaty.

- Pozwól mi to wyjaśnić. - Nie mogła użyć delikatniejszego tonu, żeby zadać to pytanie. - Poślubiłaś księcia Brandta, mężczyznę, który będzie rywalizował z Landerem w nadchodzących wyborach?

- To niezgodne z prawem. - Ku rozbawieniu Julianny, obie kobiety znowu odrzekły równocześnie.

- Przynajmniej my uważamy, że tak jest - dodała Miri.

- Jaki on jest? - spytała Julianna, ciekawa rywala Landera do tronu.



- Wysoki brunet, przystojny oczywiście.

- Jak możesz mówić, że jest przystojny? - obruszyła się Rachel. - Jest zbyt zwyczajny, aby uważać go za przystojnego.

- Nie zgadzam się z tobą. Sądzisz tak dlatego, że jego rysy twarzy są surowsze od Montgomerych, co czasami sprawia, że wygląda na srogiego.

- Dziwna nuta wkradła się w głos Miri. - Odpowiadając na twoje pytanie, Julianno, jego pełen rezerwy sposób bycia jest bardzo pociągający. I ma w sobie ten staroświecki urok. Honor i obowiązki przedkłada ponad wszystko. I kiedy podejmuje decyzję, nie ma możliwości, aby się wycofał.

Julianna nauczyła się szybko analizować i oceniać ludzi. Tak jak jej brat John rzadko się myliła. Z jednym fatalnym wyjątkiem - Stewartem. Intuicja jej podpowiadała, że Miri żywi głębsze uczucia do Brandta. Zmieniła temat, zwracając się do Rachel.

- Jaki więc jest następny punkt dzisiejszego programu?

- Jak tylko skończymy śniadanie, spotkasz się z ojcem Lonighan. Da ci swoje formalne błogosławieństwo i zaoferuje porady małżeńskie.

- Dobrej zabawy.

- Miri! Potem masz godzinę, aby wziąć kąpiel, zanim się zacznie ta zabawniejsza część. - Rachel pstryknęła palcami. - Masaż, kosmetyka twarzy, manicure i pedicure.

- Dobry Boże - wyszeptała Julianna nieśmiało.

- Następnie Miri i ja wrócimy, aby ci pomóc ułożyć włosy i zrobić makijaż.

Miri uśmiechnęła się szeroko.

- Miała na myśli, że będziemy obserwować, jak eksperci się tym zajmują. Następnie, zgodnie z tradycją Verdonii, Peri zaszyje na tobie suknię.

- Tak, wspominała mi o tym zwyczaju - powiedziała Julianna. - Ale jeśli będę zaszyta, jak się potem uwolnię z tej sukni?

Rachel i Miri wymieniły szybkie, tajemnicze uśmiechy, które zaniepokoiły Juliannę.

- Zobaczysz.

Reszta dnia mijiała zgodnie z rozkładem. We właściwym czasie zjawił się fryzjer, cudowny Gibbon Girl. Ułożył jej włosy w loczki okalające twarz i drażniące ją w kark i szyję. Następnie dostała tiarę, którą mierzyła w muzeum. Miała nadzieję, że Lander będzie zadowolony, że wybrała klejnot, który nosiła jego matka w dniu swojego ślubu. Miała dziwne uczucie, że tiara łączy ją z matką Landera, tak jakby łączyła dwa pokolenia.

Rachel podała jej dłoń i uścisnęła ze zrozumieniem.

- Lander poprosił mnie, bym ci to dała - wyszeptała, podając Juliannie okrągłe pudełko.

Julianna otworzyła je i zobaczyła najpiękniejsze kolczyki, jakie kiedykolwiek widziała. Leżały na welwetowym spodzie. Były wysadzane diamentami i ametystami. Ledwie udało jej się je założyć, tak bardzo trzęsły jej się ręce.

Przyszedł czas, by Peri zaszyła jej suknię. Dopasowany stanik błyszczał małąkami ametystami. Warstwy tiulu gęsto upięte przy wąskiej talii opadały swobodnie, tworząc za Julianną nieskończenie długi tren.

Następnie przyniesiono welon. Utkany z koronek i tiulu również połyskiwał ametystami. Tiul ułożony był w misternie wykonany wzór wirujący przy każdym ruchu i powodujący, że rysy twarzy Julianny były zupełnie niewidoczne. Jednocześnie umożliwiał jej widzenie wszystkiego naokoło. Zrozumiała, jak to było możliwe, że Miri oszukała Brandta, zajmując miejsce Alyssy przed ołtarzem.

Kiedy Rachel nałożyła jej welon, Julianna została eskortowana ze swojej sypialni przed pałac, gdzie czekała na nią karoca przystrojona kwiatami. Tuż obok stał John. Ubrany był w szary smoking.

Burza minęła. Pozostawiła powietrze czyste i wilgotne, wypełnione cudownym zapachem wczesnego lata. Delikatna mgiełka unosiła się wokół powozu. Jechali ulicami, wzdłuż których stali mieszkańcy Verdonii, wiwatując i pozdrawiając ją. Do kaplicy dojechali na czas. John dosłownie wyniósł ją na rękach z karocy i skierował do wejścia.

- Wiesz, że chcę dla ciebie wszystkiego co najlepsze - powiedział cicho.

- Oczywiście, że wiem.

Zaoferował jej swoje ramię.

Muzyka unosiła się z ciemnego wnętrza kaplicy. To był menuet Haendla. Zatrzymali się w kruchcie, gdzie osoby obsługujące ją poprawiały jej suknię i ułożyły tren, rozpościerając go za nią.

- Jego Wysokość powiedział, że zerwał te kwiaty własnoręcznie - wyszeptala jedna z kobiet, podając jej bukiet wonnych, białych róż. - Powiedział, że będzie pani wiedziała, skąd je wziął.

Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała unieść bukiet do nosa, jednak welon uniemożliwiał wykonanie tego ruchu. John skierował ją w stronę

wejścia do kaplicy. W chwili, kiedy tam weszła, rozbrzmiały salwy majestatycznych rogów „Trumpet Voluntary” Johna Stanleya.

I wtedy zobaczyła Landera. Stał skupiony, czekając na nią. Ubrany był w biały mundur. Na piersi miał przypięte medale, a ozdobny pas przełożony przez ramię zwisał na biodrze. Do niego przymocowana była piękna szabla. Lew Roche, w pełni swojego majestatu. Późne popołudniowe słońce wlewało się przez zachodnie okna kaplicy.

Zacząła iść w jego stronę. Unosiła się jak we śnie. Ceremonia ślubna się rozpoczęła. Wszystko wokół rozplynęło się we mgle. Ledwie pamiętała, jak John połączył jej dłoń z dłonią Landera. Ojciec Lonighan mówił długo, a jego niski głos grzmiał w kaplicy. W końcu całą swoją uwagę skupiła na mężczyźnie przysięgajacemu jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską.

Chwila, w której wsunął jej na palec dwa pierścionki, była najbardziej przejmująca z całej ceremonii. Pierwszy stanowiła złota obrączka wysadzana verdońskimi, królewskimi ametystami. Drugi był tak piękny, że zabrakło jej tchu, kiedy go zobaczyła. Zamiast Pokrewnej Duszy wsunął jej na palec delikatny pierścionek składający się z diamentów i ametystów, który stanowił komplet z wcześniej otrzymanymi kolczykami.

- Zaprojektowałem go dla ciebie - powiedział cicho.

- Czy to coś oznacza?

- Oczywiście. - Jego orzechowe oczy lśniły czułością. - Zobaczymy, czy uda ci się odgadnąć.

Nie mieli możliwości więcej rozmawiać. Ojciec Lonighan dał im ostatnie błogosławieństwo. Ceremonia zakończyła się ogłoszeniem, że są

mężem i żoną. Jak nakazywała tradycja, Lander musiał poczekać do końca, aby unieść jej welon.

- Nigdy nie wyglądałaś pięknie - wyznał.

Ujął jej twarz w swoje dłonie i złożył na jej ustach najśłodszy pocałunek. Zamknęła oczy i zatonąła w jego ramionach. Jediną rzeczą, która uczyniłaby tę chwilę piękniejszą, byłoby, gdyby wyznał jej miłość. Dźwięki marsza przywołały ich do rzeczywistości. Lander wziął ją pod rękę i poprowadził główną nawą wzdłuż kościoła. Na zewnątrz wiwatujący tłum pozdrawiał ich. Słońce zeszło niżej za horyzont, rozświetlając różową poświatą całe miasto. Ze śmiechem Lander wziął Juliannę na rękę. Jej tren powiewał na wietrze i falował wokół nich, kiedy niósł ją do karocy. W tej chwili Julianna była najszcześniejszą osobą na świecie.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Po ślubie Lander zorganizował kolację dla przyjaciół i najbliższych krewnych. Oboje pełni radości co chwila wybuchali śmiechem jak musujące bąbelki szampana. W ciągu tych krótkich godzin Julianna poznała, jak musiał się czuć Kopciuszek po poślubieniu księcia. Po raz pierwszy w życiu czuła się kochana i adorowana. Czuła się jak praw dziwa księżniczka.

Po kolacji marszałek dworu zaprosił gości na taras, że by mogli obejrzeć fajerwerki puszczane dla uczczenia królewskiego ślubu. Julianna chciała pójść za nim, ale Lander złapał ją za rękę i pociągnął w przeciwną stronę.

- Chodź, obejrzymy je, ale na osobności.

Nie potrzebowała dodatkowej zachęty. Dobiegli do sypialni, zanosząc się śmiechem. Nie mogła powiedzieć, co było w tym tak zabawnego. Może to po prostu ich szczęście tak tryskało jak z odkorkowanego szampana. Otworzywszy drzwi, Lander wziął ją w ramiona i przeniósł przez próg. Ciepłe światło świec spowijało pokój, dziesiątki świeczek stały na każdej powierzchni. Białe płatki róż rozrzucone po dywanie tworzyły romantyczną ścieżkę od drzwi do łóża. Jeszcze więcej płatków leżało na prześcieradle, a pokój był wypełniony ich wonią. Cicha muzyka dobywała się ze skrzętnie ukrytych głośników i Julianna zatrzymała się, aby jej posłuchać.

- Ty to zrobiłeś? - spytała łamiącym się głosem.

- Muszę się przyznać, że nie ustawiałem świeczek. Ale resztę zrobiłem sam, specjalnie dla ciebie.

- Dziękuję.

Usłyszała dobiegający z oddali huk sygnalizujący rozpoczęcie fajerwerków i przeszła przez weneckie okno na balkon. Lander dołączył do niej, podchodząc z tyłu i obejmując ją w talii. Początkowo patrzyli na sztuczne ognie w milczeniu, na feerię kolorów i odgłosy eksplozji na cześć ich związku.

Delikatnie ją obrócił.

- Chodź, uwolnię cię z tej sukni.

- Jestem w niej zaszyta. To podobno tradycja. Jak zamierzasz mnie uwolnić?

- Jak wszyscy dobrzy mężowie w Yerdonii przyszedłem przygotowany.

Wziął ze stolika obok biżuteryjny sztylet.

- To się nazywa *koffru*.

- Bałam się spytać.

- I prawidłowo, bo to krojczy panien młodych.

- Pięknie. Zamierzasz mnie tym pociąć?

Odpowiedział na jej kpinę wyszczerzeniem zębów. Przyciągnął ją i obrócił tak, że stała do niego tyłem.

- To twoją suknię zamierzam pociąć, a nie ciebie.

- Tylko jej nie zniszcz.

- Zaufaj mi, kochanie.

Zebrał welon na jedną stronę i przecinał suknię wzdłuż szwu delikatnie i precyzyjnie. Centymetr po centymetrze nóż przesuwiał się w dół, aż osiągnął wysokość jej tali. Przejechał jeszcze kawałek dalej, do bioder. Suknia była rozcięta podobnie jak halka pod nią. Podał jej rękę i

pomógł się uwolnić z morza tiulu i satyny. Stała przed nim dziwnie niepokorna, otulona kilkoma tylko kawałkami koronki ubrana w pończochy, szpilki i podwiązki, welon i tiarę.

- Jak pięknie - zamruczał i odczepił jej welon, kładąc go z boku.

Kiedy chciała zdjąć tiarę, powstrzymał ją.

- To moje zadanie.

Zdjął tiarę z jej włosów, uwalniając kilka loków, które się do niej przyczepiły.

- Ciekaw jestem, czy sama ją wybrałaś? To na cześć mojej matki, prawda?

-Tak.

Zacisnął zęby, a smutek ściągnął mu w dół kąciki ust Zabolęło ją serce na ten widok.

- Chciałam, by w jakiś sposób uczestniczyła w tej ceremonii.

- Dziękuję ci za to. Ona doceniłaby ten gest. - Odłożył tiarę w bezpieczne miejsce i odwrócił Julianę przodem do siebie. - A teraz moja ulubiona część.

Po kolei wyciągał z jej włosów spinki upinające fryzurę bawiąc się uwolnionymi lokami. Za nimi noc rozświetlały sztuczne ognie, rzucając brylantowe błyski na jego twarz Wziął ją w ramiona i zaniósł na łóżko.

Obezwładniał ją aromat otaczających róż, jedwabistość ich płatków. Przez nie przebijał się inny aromat, męski! Pochylał się nad nią, ledwo jej dotykając. Pieścił jej ciało z drażniącą powolnością. Zalewając uczuciem gorączki w jednej chwili i ochłodzenia w następnej.

- Teraz. Lander, proszę - ponagliła. - Kochaj się ze mną.

Nie potrzebował kolejnej zachęty.



- Moja panna młoda - wyszeptał. - Księżniczko, żono.

Wziął ją z niezwykłą czułością i delikatnością, a spełnienie nadeszło, niszcząc wszystkie dzielące ich bariery, wybuchając jak ostatni pokaz fajerwerków. W tym momencie czuli się całkowicie zjednoczeni, byli mężem i żoną.

- Do licha, John - burknął Lander. - Czy możemy z tym skończyć? Julianna zaraz się obudzi. Biorąc pod uwagę, że to nasza noc poślubna, chciałbym, żeby się to stało, gdy będzie w moich ramionach, a nie w pustym zimnym łóżku.

- Ostateczny kontrakt jest już gotowy. Prawnicy muszą uzgodnić tylko dwa ostatnie punkty i załatwione. A za kilka miesięcy nowe przedsięwzięcia zaleją Verdonię i niech mnie - zatarł ręce - będziesz miał źródło dochodów, żeby zapłacić dziurę po handlu ametystami.

Twarz Landera wykrzywił grymas.

- Oby dostatecznie szybko. Skarbiec królewski wkrótce opustoszeje. Jeśli coś nie zastąpi utraconych dochodów, będzie to miało katastrofalny skutek dla stabilności ekonomicznej kraju. Dziewięć miesięcy, może rok i odczujemy konsekwencje kryzysu.

- Byłoby łatwiej sfinalizować nasze plany, gdyby twoja główna księgowa z nami pracowała. Co się z nią stało?

- Odeszła po śmierci ojca.

- Może jest jakaś szansa, żeby wróciła i nas wsparła?

- Żadnej. Lauren odchodząc, postawiła sprawę jasno. Ciężko przeżyła śmierć mojego ojca. Sądzę, że była z nim związana - Lander zwiesił głowę - jeszcze przed śmiercią mojej matki. Wydaje mi się, że jest gdzieś w Hiszpanii, ciesząc się wcześniejszą emeryturą. Poradzimy sobie

przy pomocy tych księgowych, którzy są. Nie wspominając o prawnikach, których obaj mamy w nadmiarze. - Spojrzał wymownie w stronę stołu konferencyjnego. - Czy oni nigdy nie skończą?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, po czym wychyliła się zza nich burza loków w nieładzie. Była ubrana w prostą, jedwabną bluzkę i falbaniastą spódnicę. Choć jej twarz była pozbawiona makijażu, poświęciła czas, by włożyć kolczyki, które dostała w prezencie. Lander miał ochotę porwać ją w ramiona i zabrać z powrotem do sypialni.

- Och, tu jesteś. - Na jej twarzy malowała się ulga. - Myślałam, że już cię straciłam.

- Nie ma takiej możliwości. - Przyciągnął ją i nie zwracając uwagi na innych, pocałował. - Dzień dobry, żono. Przykro mi, że mnie nie było, kiedy się obudziłaś - kajał się.

- Co się dzieje? - Spojrzała na brata. - Cześć, John. Co tutaj robisz?

- Interesy - odpowiedział z łatwością. - Przenoszę tu część moich interesów. Znasz mnie. Rozrzucam bogactwo wokół.

- Racja. - Uśmiechnęła się do brata. - Lander mi o tym nie wspominał, ale mam wrażenie, że jesteście w trakcie negocjacji jakiegoś porozumienia.

- Nasze długie negocjacje wchodzą już w ostatnią fazę. Powinniśmy skończyć w ciągu godziny.

- Czemu musiałeś z tym czekać do dzisiejszego ranka? - Ku uciesze Landera przybrała zrzędlawy ton. - Masz opóźnienie? To do ciebie niepodobne. Zwykle się trzymasz terminów.

- Przepraszam, Anno. - John starał się wyglądać na stosownie zmartwionego. - Wydaje mi się, że to twój ślub wywrócił wszystko do

góry nogami. Jeśli cię to uspokoi, jesteśmy już w fazie podpisywania. Jak tylko skończymy, wy, dwa kochające się ptaszki, będziecie mogli odlecieć na miesiąc miodowy.

Julianna roześmiała się, spoglądając psotnie na Landera.

- Pracowałam z Johnem przy niezliczonych kontraktach. Wiem wszystko o fazie podpisywania. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich mnie nauczył, było to, że zawsze trzeba czekać do wypełnienia każdego przedkontraktowego warunku, zanim się podpisze umowę. Podkreślał wagę tego w czasie negocjacji. - Zniżyła głos, naśladowując teksański akcent Johna. - Nie podpisuj, Anno, na podstawie obietnic. Zaczekaj ze złożeniem swojego podpisu na wykropkowanej linii, aż wypełnią wszystko, co obiecali. Tylko tak zapewnisz sobie otrzymanie tego, za co płacisz.

Jej spojrzenie pobiegło od męża do brata.

- Więc co zostało do zrobienia? Mogę w czymś pomóc?

- Nie - John i Lander odpowiedzieli jednocześnie. Juliannę zmroziło. Ciemne chmury zebrały się na jej twarzy. Nastąpiła przejmująca cisza.

- Wasza Wysokość - jeden z prawników Landera podniósł się - proszę wybaczyć, sir, ale nie możemy się posunąć naprzód, dopóki pan Arnaud nie potwierdzi, że warunki wstępne kontraktu zostały spełnione.

Julianna zeszywniała, jej twarz pociemniała, a blask oczu przygasł. Wyrwała się z objęć męża i zrobiła krok w stronę brata.

- O jakich warunkach oni mówią? Co Lander musiał zrobić?

- Nic ważnego. Szczegóły. Nic, czym musiałabyś się martwić.

Jedno spojrzenie upewniło Landera, że nie kupiła tej gładkiej odpowiedzi. Wskazał prawnikom głową drzwi. W ciągu trzydziestu

sekund pokój opustoszał. W chwili, gdy drzwi się za nimi zamknęły, Julianna przemówiła ponownie, próbując dotrzeć do sedna.

- John, czy kiedykolwiek odmówiłeś robienia interesu z Landerem z powodu naszego romansu?

- Nie, Anno, nic z tych rzeczy.

Obaj uspokoili się nieco. Ale jej spojrzenie zmroziło ich ponownie.

- Może... Spróbujmy z drugiej strony. Czy kiedykolwiek odmówiłeś współpracy z Landerem, dopóki się ze mną nie zwiąże? Nie, nie zrobiłbyś tego. Nie zgodziłbyś się na nic mniej niż...

Urwała, a jej oczy się rozszerzyły.

- Anno!

Cofnęła się w stronę drzwi.

- Och, nie. Powiedz, że tego nie zrobiłeś, że to nie jest jednym z warunków twojego kontraktu.

Lander zrobił krok w jej stronę.

- Kochanie... Podniosła rękę.

- Jestem taka głupia. Jak mogłam być ciągle tak naiwna? Potrząsnęła głową, włosy rozsypały jej się wokół twarzy.

Jej skóra była tak blada, że wydawało się, że przeświecają przez nią kości, a serce trzepotało się jak ptak w klatce.

- Dwa plus dwa równa się cztery. Zawsze.

John stał zdezorientowany. Nigdy wcześniej nie widział takiego rozczarowania na twarzy kobiety.

- Czy jestem zapisana w umowie? - zapytała z zadziwiającym opanowaniem. - Rozdział trzeci paragraf czwarty punkt c. W zamian za

przedsięwzięcia X, Y, Z w Verdonii poślubisz moją siostrę. Jeśli przeczytam umowy leżące tam na stole, znajdę swoje nazwisko?

Gdy żaden z mężczyzn się nie odezwał, westchnęła.

- Nie? Nie tam? Więc musieliście zdecydować o mojej przyszłości przy brandy i cygarach. I dżentelmeński uścisk dłoni. Poślub moją siostrę, a ja wypełnię umowę.

- Najdroższa, nie...

Jej opanowanie zniknęło, oddech przeszedł w szloch.

- O Boże. Nie musisz nic więcej mówić. Wszystko rozumiem.

Naprawdę. Moje małżeństwo to nic innego jak interes. - Jej głos brzmiał boleśnie.

- Posłuchaj mnie, Julianno - zaczął Lander.

Ale ona nie miała zamiaru słuchać. Zanim zdążył wypowiedzieć choćby słowo, obróciła się i wyszła. Rzuciła się biegiem przez korytarz. Słyszała goniącego ją Landera. Złapał ją, gdy wbiegała do ich sypialni.

- Posłuchaj mnie.

- Posłuchać? - Słyszała furię w swoim głosie. Tym razem rana była zbyt głęboka, a ból zbyt rwący, by trzymać go w środku. - Cokolwiek masz mi do powiedzenia, będzie to albo kłamstwo, albo wymówka.

- Chciałem ci powiedzieć prawdę i... wyjaśnić. Przerwała mu machnięciem ręki.

- Nie musisz wyjaśniać. Zrobiłeś to kilka tygodni temu. Ja po prostu nie zwróciłam na to dostatecznej uwagi.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Przejechał dłonią po włosach. - Co ci wyjaśniłem? Gdzie i kiedy?

Oddychała szybko, jej myśli goniły jedna drugą.

- Byliśmy w moim biurze. Nie pamiętasz? Próbowałeś mnie przekonać, żebyśmy kontynuowali nasz związek. Kiedy wspomniałam, że to nie byłoby dobre dla Verdonii, ty powiedziałeś - jej oczy zwęziły się, chciała się uspokoić, by dokładnie sobie przypomnieć jego słowa - powiedziałeś, że twoje życie osobiste nigdy nie wpływa na obowiązki wobec kraju, że obowiązki są zawsze najważniejsze.

O Boże! Czemu go wtedy nie słuchała? Dlaczego nie zrozumiała? Była tak zapatrzona w swoje marzenia, w bajkową historię, że zapomniała o rzeczywistości.

- Teraz rozumiem. Małżeństwo ze mną oznaczało, że Verdonia będzie chroniona przed kryzysem ekonomicznym. Nie poślubiłeś mnie z miłości. Wzięłeś ślub, by ratować kraj.

-Masz rację - odpowiedział w rozpaczy. - Absolutną. John przyszedł do mnie z tą propozycją. Oznajmił, że chciałby, żebym poślubił jego siostrę.

- Mnie.

- Nie, nie ciebie. Annę Arnaud. Odpowiedziałem mu, żeby szedł do diabła, że mogłem rozważyć taką odrażającą sugestię tydzień wcześniej, ale nie teraz, gdy kogoś poznałem. Juliannę Rose. Ale wiesz, co się okazało, gdy mi pokazał zdjęcie swojej siostry? Że Anna Arnaud i Julianna Rose to ta sama osoba. Interesujący zbieg okoliczności. Nie sądzisz?

- Zbieg okoliczności. Mówisz, że... sądzisz, że ja... - Jej oddech przeszedł w syczenie. - Wierzysz, że ja to uknułam z Johnem, żeby cię zaciągnąć do ołtarza?

- Rozwazałem taką możliwość. Pojawiłaś się na balu i nie podałaś mi prawdziwego nazwiska. Twój brat przybył tego samego wieczoru.

Spędzamy noc i nagle John mówi o kontrakcie i małżeństwie.

Potrząsnęła głową w niemym niedowierzaniu. Czuła, że zaraz się załamie.

Lander posuwał się w jej stronę.

- Tak, przyznaję, przyszło mi na myśl, że jesteś w zмовie z Johnem. I wiesz, co postanowiłem?

Cofnęła się i oparła o brzeg łóżka.

- Zdecydowałem, że nieważne, jak do tego doszło. Pragnąłem ciebie, a ty mnie. Wziąłem pod uwagę interes Verdonii. Po wyczerpaniu kopalń ametystów kraj był na skraju bankructwa. Więc tak, księżniczko, postanowiłem się z tobą ożenić. A ty, co byś zrobiła?

- Powiedziałybym prawdę - przekonywała zawzięcie. - Dałabym ci wybór.

- Naprawdę? - Uniósł brew ze sceptycznym wyrazem twarzy. - Zgodziłabyś się wyjść za mnie, gdybym był z tobą szczery? Zawahała się.

- Nie wiem - przyznała.

- Przynajmniej mówisz prawdę. - Zmęczony wzruszył ramionami. - Podejrzywałem, że taka może być twoja odpowiedź. Nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko, że odrzucisz moje oświadczenia. Kiedy prasa się o nas dowiedziała -robota Johna, jak sądzę - skorzystałem z okazji i wsunąłem ci pierścionek na palec, zanim mogłaś zareagować.

- Przedłożyłaś swój kraj nade mnie, tak jak uprzedzałaś. Widziała, że chciał zaprzeczyć.

- Nie mogę tak żyć. Chciałabym, ale nie mogę. - Rozejrzała się po pokoju, szukając drogi ucieczki. - Muszę odejść.

- Jesteś moją żoną.

- Kupioną. - Łzy zebrały jej się w oczach. - To czyni mnie własnością, nie żoną. W każdym razie nieprawdziwą.

- Zostań - zażądał. - Znajdziemy jakieś wyjście.

Łzy popłynęły. Uwolnione przez brak nadziei i rozpacz tak głęboką, że zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Wierzyła, że odnalazła bratnią duszę, a okazało się to iluzją. To, co jej zaoferował, nie było prawdziwe. Została tylko pustka. Musi odejść.

- Przepraszam, Lander, nie mogę zostać. - Jej głos drżał, ale nie mogła temu zapobiec. - Zamierzam poprosić Johna, żeby mnie zabrał ze sobą do Stanów. Wy dwaj możecie się zastanowić, jak najlepiej uregulować pozostałe kwestie dotyczące kontraktu.

Zaczęła zdejmować kolczyki i obrączkę, ale ją powstrzymał.

- Zatrzymaj je - nakazał.

Podniosła na niego oczy. Gdyby tylko powiedział te słowa. Dwa słowa, które zmieniają wszystko na świecie. Ale najwidoczniej nie czuł do niej tego, co ona do niego. Wszystko było stracone. Bajka się zakończyła, nim się na dobre rozpoczęła. Bez słowa odwróciła się i opuściła swojego męża.

Julianna była już w samolocie Johna, kiedy jej brat przybył. Rzucił jej jedno spojrzenie pełne troski, a następnie zajął się wydawaniem cichym głosem poleceń pilotowi i personelowi pokładowemu. Chwilę potem zostali sami w przestronnej kabinie.



- Przepraszam, Anno. - Usiadł w fotelu naprzeciwko. - Zawaliłem, wiem. Ale przysięgam, działałem dla twojego dobra.

Co do tego nigdy nie miała wątpliwości. Jej brat poświęcił większość życia, by ją chronić. Próbując jej dostarczyć wszystko, czego pragnęła lub potrzebowała. Ale to... !

- Dlaczego to zrobiłeś? - Niepohamowany gniew ustąpił miejsca zimnej złości. - Jak mogłeś zmusić Landera do poślubienia mnie i to dla mojego rzekomego dobra?

- Zasługujesz na to, by być księżniczką. - W jego głosie słychać było upór. - Królową, jeśli tak zdecyduje lud Verdonii.

- Jak śmiesz! - wysyczała - Co ci pozwoliło myśleć, że tego chcę?

Od dawna nikt nie kwestionował jego decyzji, a fakt, że teraz robiła to jego mała siostrzyczka, pozbawił go zwykłej pewności siebie.

- Myślisz, że nie wiem, jak trudne było dla ciebie ostatnie siedemnaście lat? - próbował wyjaśnić. - Ile wycierpiałaś z powodu mediów? W pewnym momencie myślałem, że masz to już za sobą. Wydawałaś się kochać swoją pracę, aż pojawił się Stewart.

-I dlatego zmusiłeś Landera, żeby mi się oświadczył? Kontraktowe małżeństwo miało mnie przed czymś uchronić? Zapewnić, że będę żyła długo i szczęśliwie? Jak mogłeś zrobić to mnie czy Landerowi?

- Nie widzisz? To dlatego, że tak cię kocham i chcę dla ciebie tego co najlepsze.

- John!

- Posłuchaj, jest coś, czego ci nie mówiłem o mojej znajomości z Montgomerym. Byłem jego dłużnikiem, dlatego przyjechałem do Verdonii i zdecydowałem się mu pomóc.

Zdziwiona uniosła brwi.

- O czym ty mówisz?

- Na Harvardzie rywalizowałem z nim. - Zacisnął usta. - To chyba łagodne określenie, biorąc pod uwagę, jak bardzo nienawidziłem tego człowieka.

- Ale dlaczego?

Oczy Johna pociemniały od emocji.

- Ponieważ reprezentował wszystko, czego nam brakowało. Miał nazwisko, dziedzictwo, idealne życie. Był złotym dzieckiem. Ścigałem się z nim, żeby udowodnić, kto jest lepszy. Stopnie, kobiety, sport. We wszystkim musiałem go pokonać. I w końcu mi się udało. Ukończyłem studia z lepszą lokatą niż on. Miał czelność uścisnąć mi dłoń i pogratulować. Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z byciem jego dłużnikiem?

-Jego kumple uważali, że oszukiwałem. Pobili mnie, zdecydowani wyciągnąć ze mnie przyznanie się do winy.

- I Lander cię uratował?

- Taaak. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Wykosił ich wszystkich i odwiózł mnie do szpitala. Wtedy przysiągłem mu, że gdyby czegoś potrzebował, a będzie to w mojej mocy, pomogę mu. Widzisz więc, nie musiał się z tobą żenić. Gdyby odmówił, wiedział dobrze, że wypełnię moją część umowy. Jest tylko jedna przyczyna, dla której się zgodził na mój warunek: kochał cię. Musisz w to uwierzyć.

- Nigdy nie będę na sto procent pewna. Nie będę wiedzieć, czy to płynie z jego serca, czy to część umowy z tobą. Będę podejrzliwa wobec

każdego słowa czy gestu, który wykona, każdego prezentu, który mi podaruje. Nigdy nie będę mieć pewności.

John przyglądał jej się w zdumieniu.

- Nie... to nie w porządku...

- Prawda?

Nigdy nie czuła się tak zmęczona ani tak pokonana.

- Idę na tył, żeby się położyć. Poproś stewardesę, żeby mi nie przeszkadzano.

Złapał ją za rękę i ścisnął.

- Będę cię chronił.

- Zawsze tak robisz i w tym jest problem. Jestem już dorosła i muszę sama o siebie dbać, nawet jeśli czasami będzie to oznaczać upadek i zderzenie kolan. Czas, żebyś mi na to pozwolił. Masz swoje życie do przeżycia. Pozwól mi się zająć moim.

Nie czekała na odpowiedź. Nie miało znaczenia, co John powie. Nadszedł czas, by wzięła odpowiedzialność za swoje życie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Julianna nigdy nie próbowała sobie przypominać tych pierwszych dni, gdy z powrotem była w Dallas. Upłynęły pełne bólu i rozpacz. W tej samej minucie, kiedy wylądowała w Teksasie, chciała zawrócić i polecieć do męża, ale nie mogła.

Do centrum nie jechało się długo. John był właścicielem biurowca w sercu Dallas. Ten wieżowiec ze szkła i chromu miał skromny neon z napisem: Arnaud. Ochrona skierowała ją do prywatnej windy Johna, a na górze spotkała jego asystentkę, Maggie, siedzącą na swoim stanowisku przed wejściem do jego biura.

Starsza kobieta spojrzała na nią znad okularów, przerywając na chwilę pracę.

- Cześć, dziewczyno. Czy może powinnam powiedzieć: Wasza Wysokość?

- Nie. - Julianna przeniosła wzrok na drzwi prowadzące do wewnętrznego sanktuarium Johna. - Czy jest tam?

- Sądząc po pomrukach i warczeniach dochodzących zza drzwi, tak.

- Jest aż tak źle?

- Dawno go nie widziałam w takim stanie. Może ty potrafisz coś zaradzić.

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Pracownicy będą ci wdzięczni.

Julianna wzięła głęboki oddech i weszła do gabinetu. John siedział tyłem do drzwi, patrząc przez szybę na wieżowce Dallas.

- Do diabła, chcę jakiejś odpowiedzi - ryknął, kiedy Julianna wśliznęła się do pokoju.

Rozmawiał przez głośnik telefonu. Czekala cicho.

- Słyszysz mnie? - Julianna, aż podskoczyła, słysząc głos swojego męża. - Nie chcę jej tu z powrotem. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, po prostu trzymaj ją w Dallas. Czy to jasne?

- Nie wydawaj mi rozkazów, Montgomery.

- W tej sprawie mogę. Nie zmienię zdania. Jeśli spróbuje tu wrócić, przysięgam, że odeślę ją z powrotem.

Musiała wydać jakiś dźwięk, bo John się odwrócił.

- Czy na użytek swojej żony mógłbyś powtórzyć, Wasza Wysokość? Właśnie weszła do mojego biura. Sądząc z wyrazu jej twarzy, słyszała każde słowo.

Zapadła niekończąca się cisza, a potem człowiek, którego kochała nad życie, odpowiedział:

- Jeśli słyszała, nie mam po co powtarzać. Zakładam, że moja wiadomość dotarła i możemy skończyć z całym tym nonsensem.

Powiedział to zdanie zmienionym głosem. Gdyby nie wiedziała, że to jej mąż, myślałaby, że słucha kogoś obcego. Trzy łzy spłynęły jej po twarzy, gdy odpowiadała:

- Prześlę ci obrączkę kurierem jutro rano.

- Nie fatyguj się, nie jest mi tu potrzebna. Połączenie zostało przerwane. Julianna stała, wpatrując się w brata.

- Ja... po prostu przyszłam... Przepraszam...

- Anno, zaczekaj. Jest coś, czego nie wiesz.

Ona jednak nie czekała. Opanowanym krokiem wyszła z biura. Później będzie mogła sobie pozwolić na załamanie, ale nie teraz i nie tutaj.

Kiedy Lander odłożył słuchawkę, zdał sobie sprawę, że bezpowrotnie stracił swoją żonę, jedyną kobietę, którą naprawdę kochał. Odchylił się na krześle i przymknął oczy, a obraz Julianny przebiegał mu przez głowę.

- Przepraszam, Wasza Wysokość. - Marszałek dworu stanął w drzwiach. - Tymczasowa Rada Zarządzająca cię prosi.

- Dziękuję, Tymoteuszu, powiedz im, że już idę.

- Tak, oczywiście. - Zawahał się. - Czy jest coś jeszcze, w czym mogę pomóc?

- Nie, dziękuję. - Lander uśmiechnął się blado.

Niestety nikt nie mógł mu pomóc. Ktoś wskazał na niego palcem i obarczył Montgomerych winą za ametystowy kryzys. Nie był pewien, czy zdoła udowodnić swoją niewinność. Tymczasowa Rada, powołana, by rządzić Verdonią do czasu następnej koronacji, nie miała wyboru i działała na podstawie rzekomych dowodów. Wiadomość, że Julianna wróciła do Stanów następnego ranka po ślubie, wyciekła do prasy w momencie, gdy wsiadała do samolotu. Informacja o śledztwie ukazała się tego samego popołudnia, więc jej zniknięcie dołało tylko oliwy do ognia podejrzeń. Czy wyjechała, ponieważ wierzyła, że jej mąż jest winny? Fakt, że wyleciała z bratem, czynił całą sprawę jeszcze bardziej podejrzaną. Krążyły plotki, że nawet niesławny John Arnaud nie chciał stanąć po stronie księcia Landera.

Skandal groził rozpadem kraju. Do czasu uratowania sytuacji, o ile zdoła ją uratować, wolał trzymać Julianę z dala od medialnego zgiełku.

Na ulicy Julianna zatrzymała taksówkę.

- Jedź - poinstruowała kierowcę, gdy tylko wsiadła do środka.
- Gdzie chciałyby pani jechać?
- Wszystko jedno. Może być w kółko.

Opadła na siedzenie i zaczęła się trząść. Była rozdygotana, diamenty i ametysty w jej pierścieniach błyskały ogniem. Patrzyła na nie tępo, kiedy zadzwoniła jej komórka. Nie mając nic innego do roboty, odebrała.

Spodziewała się brata, ale zamiast tego usłyszała głos teściowej.

- Słyszałaś? - Rachel spytała bez zbędnych wstępów. - O Landerze?
- Ja... Rozmawiałam z nim dziesięć minut temu. - Jeśli te kilka zdań

można uznać za rozmowę. - Czy coś mu się stało?

Rachel jęknęła.

- Nie mówił ci nic o oskarżeniach?
- John próbował mi coś powiedzieć, gdy wychodziłam z biura, ale...

Rachel, co się dzieje? O jakich oskarżeniach mówisz?

- Landerowi i jego ojcu zarzucono... defraudację. Mówiąc najdelikatniej.

Miała na myśli kradzież?

- Czy dobrze słyszę? Jest posądzany o sprzeniewierzenie pieniędzy?

- Ametystów. Oskarżają go o zagarnięcie i sprzedaż klejnotów na czarnym rynku. Podobno jest dokument na poparcie tych zarzutów.

- To bzdury - zadeklarowała Julianna. - Lander nigdy nie zrobiłby czegoś niehonorowego ani nie uczestniczyłby w niczym, co mogłoby zaszkodzić Verdonii.

Po chwili ciszy Rachel wyszeptała:

- Dziękuję ci. Obawiałam się, że wyjechałaś, bo uwierzyłaś w jego winę.

- Wyjechałam, bo się dowiedziałam, że mnie nie kocha -  
odpowiedziała bezmyślnie.

- Nie! Skąd ci to przyszło do głowy? Nieważne, to nie moja sprawa -  
zdecydowała się zmienić temat. - Twój brat mi mówił, że jesteś najlepsza  
w finansach i księgowości. Czy mogłabyś przejrzeć dokumenty i  
sprawdzić, czy nasi ludzie czegoś nie przeoczyli?

Julianna się nie wahała.

- Przyjadę najszybciej, jak się da. - Oczywiście powrót do Verdonii  
oznaczał stawienie czoła Landerowi, a na to nie była jeszcze gotowa. - Jest  
jeden warunek.

-Jaki?

- Lander nie może się dowiedzieć o moim powrocie.

- Och... Mogę obiecać, że mu nie powiem, ale nie mogę zapewnić, że  
się nie dowie z innych źródeł. Czy możesz to zaakceptować?

Kiedy Julianna niechętnie się zgodziła, dodała:

- Moja droga, powiedz mi, czy sprawdziłaś, co oznaczają wasze  
obrączki ślubne?

Po czym nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się.

Julianna odłożyła telefon i po chwili wahania przyjrzała się  
pierścionkom z ciekawością. Tworzyły piękny zestaw. Jej usta wygięły się  
w uśmiechu, kiedy sobie przypominała, jak Lander wcisnął jej na palec  
pierścionek zaręczynowy. Potem wspomniała, jak jej powiedział, że będzie  
mogła odgadnąć znaczenie obrączki i pierścionka ślubnego. Zapomniała o  
tym.

Ślubna obrączka składała się z nieprzerwanego koła królewskich  
ametystów Verdonii.



Co Lander jej o nim mówił? Symbolizował kontrakt. Czy nie tak się zaczęły ich zaręczyny, od umowy? Skoncentrowała się. Na pierścionku ślubnym ametysty wraz z rozmiarem zmieniały kolor na purpurowy, który był nietypowy. Nie była pewna, co ten odcień symbolizował. Biżuteria, którą Lander jej pokazywał, nie zawierała niczego podobnego. W centrum pierścienia kamienie były głębsze, bogatsze w purpurę. Brylant i Pokrewna Dusza są razem. Potrząsnęła głową. Nie, to nie mogło oznaczać tego, o czym myślała. Łzy żalu zmieszanego z nadzieją spłynęły jej po twarzy. W następnej chwili wzięła do ręki komórkę i wykręciła numer. Brat odebrał po pierwszym dzwonku.

- Potrzebuję od ciebie trzech rzeczy i to natychmiast -wypaliła.

- Mów i są twoje.

- Potrzebuję twojego odrzutowca, mojego starego zespołu księgowych i najostrzejszych, najsprytniejszych prawników.

- Wybierasz się gdzieś?

-Do Verdonii.

John wydał westchnienie ulgi.

- W samą porę.

Lander pchnął drzwi i wszedł do środka sali konferencyjnej.

Wszyscy zamarli, rozmowy się urwały. I wtedy usłyszał odgłos wypuszczanego z trudem powietrza. Znał ten dźwięk, słyszał go, gdy całował swoją żonę i gdy się z nią kochał. Powoli odwrócił głowę i zobaczył ją w rogu pokoju wpatrującą się w niego. Nie wahał się. W jednej chwili był przy niej. Złapał ją w ramiona i obrócił. Ich usta złączył żarliwy pocałunek, który powiedział jej więcej o jego tęsknocie niż jakiegokolwiek słowa. Jej włosy były upięte podobnie jak w dniu ślubu i jego

dłonie zanurzyły się w tej fryzurze, żeby uwolnić jej loki. Wreszcie cofnął się i spojrzał na nią.

- Jesteś tu.

- Tak, jestem - odpowiedziała bez tchu.

- Nie zrozum mnie źle, ale... dlaczego?

- Myślałam, że będę mogła pomóc.

Pomóc. Miała na myśli sprawę sprzeniewierzenia. Do diabła, jeśli media się dowiedzą, że tu jest, naskoczą na nią.

Jej wcześniejsze złe doświadczenia będą niczym w porównaniu z tym, co nastąpi. I nie będzie mógł jej ochronić.

- Zostawiłem Johnowi konkretne wskazówki.

- Tak - ucięła. - Słyszałam te instrukcje, pamiętasz?

No tak. Lander przejechał ręką po włosach.

- Nie powinnaś przyjeżdżać do Verdonii. Musisz wyjechać, zanim informacja o twoim powrocie wycieknie.

- Nigdzie nie jadę. Przynajmniej nie teraz. - Odsunęła się i położyła ręce na biodrach. - Dlaczego mi nie powiedziałeś o tych zarzutach?

- Odeszłaś, pamiętasz?

- Jasne, pamiętam też, że miałam powody.

- A jednak wróciłaś? - Nie rozumiał tego. Po tym wszystkim, co zrobił, by ją trzymać z daleka, była tutaj. Nagle zauważył, że zostali sami w pustej sali konferencyjnej.

- Dlaczego kazałeś Johnowi przypilnować, żebym pozostała w Stanach? Czy po to, żeby mnie chronić?

- Dość miałaś problemów z mediami w swoim życiu. Nie potrzebujesz następnych. To nie ma teraz znaczenia. Wracasz do Teksasu, choćbym miał własnoręcznie cię wsadzić do samolotu.

- Jedno pytanie, zanim odjadę. - Zawahała się, zanim zaczęła mówić dalej. - Zauważyłam, że w Verdonii wszystkie pierścionki ślubne mają swoje nazwy. Czy mój też ma jakąś?

Zmiana tematu zaskoczyła go i pozbawiła czujności, więc odpowiedział automatycznie:

- Oczywiście.

- Jaką?

Powinien przewidzieć to pytanie.

- Porozmawiamy o tym później. Samolot...

- Może poczekać. Jeśli chcesz mojej współpracy, porozmawiamy o tym teraz.

- Jeśli ci powiem, zgodzisz się wyjechać? W przeciągu godziny wsiądziesz do samolotu, którym przyleciałaś, i wrócisz do Teksasu?

Kiwnęła głową, a on się poddał.

- Metamorfoza. Twój pierścień nazywa się Metamorfoza.

- Ach... - Dziwny uśmiech pojawił się na jej twarzy. - Miałam nadzieję, że to coś podobnego.

Ruszył w stronę drzwi.

- Jeśli będziemy ostrożni, dotrzemy na lotnisko niezauważeni.

- Za chwilę. - Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę stołu konferencyjnego, na którym leżały stosy papierów. - Chcę ci najpierw coś pokazać.

- Mieliśmy umowę. - Był stanowczy. Tym razem się nie podda. Jeśli ona zaraz nie wyjdzie, będzie się musiał uciec do drastycznych środków. Zrobi wszystko co konieczne, żeby ją chronić. - Obiecałaś wyjechać.

- Pospieszę się. - Przeszła wokół stołu i wzięła plik papierów. Uporządkowała je, sięgnęła po następne. - Skończyłam moje dochodzenie.

Przyjął to stwierdzenie ze stoickim spokojem.

- Nie przejmuj się. Wiem, że zrobiłaś, co się dało. A teraz gdybyśmy mogli...

- Zawsze robię to, co w mojej mocy. - Uśmiechnęła się do niego i wtedy zauważył tę cichą satysfakcję. Wewnętrzne światło rozjaśniało jej twarz.

- Odkryłaś, co się stało z ametystami? - zdumiał się.

- Tak. To Lauren DeVida.

- Nasza główna księgowa? - Nie mógł ukryć szoku. - Nie ma mowy. Była bardzo oddana mojemu ojcu i Verdonii.

- Nie. Była bardzo oddana ametystom. Kradła je i robiła to dobrze. Była naprawdę niezła - przyznała niechętnie.

Lander usiadł naprzeciw niej.

- Jesteś pewna, że to była Lauren ?

- Pewna na tyle, że teraz, kiedy rozmawiamy, księgowi przedstawiają to Tymczasowej Radzie. - Pochyliła się nad stołem i ścisnęła jego rękę. - Była dla was jak rodzina?

- Tak. Mój ojciec ją uwielbiał. Wszyscy ją lubiliśmy.

- Aha! - Julianna zastanawiała się chwilę. - Nie brałam pod uwagę tej możliwości.

- Jakiej możliwości?

Przejrzała dokumenty.

- Kiedy twój ojciec ożenił się z Rachel? - Wyciągnęła jakiś papier i podstawiła mu pod oczy. - Czy mniej więcej w okolicach tej daty?

- Dokładnie.

- To wtedy zaczął się ten proceder. A skończył w dniu śmierci twojego ojca.

- Myślisz, że Lauren kochała się w moim ojcu? Julianna skinęła głową.

- Kiedy poślubił Rachel, to uczucie zmieniło się w żądzę zemsty. Z tego, co zdołałam odkryć, zorganizowała wszystko tak, by wyglądało, że to twój ojciec, ty i Merrick za tym stoicie. Niektóre dokumenty wskazują nawet na Rachel i Miri.

Bez uprzedzenia okrążył stół i otoczył ją ramieniem.

- Co robisz?

- Kopiuję ruch Merricka.

- Nie rozumiem. Wysyłasz mnie do domu? Wiem, że mieliśmy umowę, ale...

- Porywam cię, ale nie wysyłam do domu - wyjaśnił. - Skoro to zadziałało w przypadku Merricka, pomyślałem, że też spróbuję.

- Zamierzasz... Uciszył ją pocałunkiem.

- Tak. Planuję cię uprowadzić. Czy wolałabyś, żebym cię związał?

- To nie będzie konieczne. - Jej oczy lśniły złotym blaskiem. - Zdaje się, że nie mam wyboru.

- Możesz walczyć, ale zalecam współpracę. To ma coś wspólnego z miłością, honorem i wzajemnym obdarzaniem się uczuciem, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Bez słowa zamknęła oczy i położyła głowę na jego ramieniu. Wyprowadził ją z pokoju i limuzyną zawiózł do apartamentu, w którym kochali się po raz pierwszy.

- Powinienem kazać Johnowi się pakować, kiedy przyszedł do mnie z tym okropnym kontraktem. - Uderzył się w piersi, gdy weszli do środka.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Verdonia - odrzekł z prostotą. - A potem nie było powodu, żeby zrywać tę umowę. Po co? Dała mi wszystko, czego chciałem. Dała mi ciebie.

Wyciągnął do niej rękę. Teraz, kiedy wróciła, nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie przytulać.

- Och, Lander. - Wtuliła się w niego mocno. - Powinieneś mi wcześniej powiedzieć, że masz kłopoty. Wróciłabym pierwszym samolotem i rozwiązałibyśmy problem całe tygodnie temu.

Unióś jej twarz i ich usta złączył pocałunek. Ubrania zrzucili w pośpiechu. Kiedy się znaleźli w łóżku, nie było pomiędzy nimi nic oprócz pasji i pragnienia.

Dużo później Lander przewrócił się na plecy, przytulając Julianę mocno do siebie. Nastął już zmierzch, który wypełnił pokój półmrokiem. Zanurzył palce w jej włosach, tak jak lubił.

- Dlaczego wróciłaś? - Czuł, że musi o to zapytać. Zatrzymała na nim pełne pewności spojrzenie.

- Wróciłam, ponieważ zdałam sobie sprawę, że kochasz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

Jego brwi się uniosły.

- Oczywiście, że cię kocham.

- Nigdy mi tego nie powiedziałeś - odparła z prostotą. Jak mógł przeoczyć coś tak oczywistego.

- Więc skąd się dowiedziałaś?

- Obrączki ślubne. Zapomniałeś? Mówiłeś mi w dniu ślubu, że mają specjalne znaczenie. Potem Rachel mi przypomniała. - Jej głos zmiękł. - I złożyłam wszystko w całość.

-I co ci wyszło?

- Że mnie kochasz. Okrąg ametystów na obrączce wskazuje, że nasz związek zaczął się od kontraktu. W pierścionku kamienie się zmieniają i rosną, tak jak się zmieniały i rosły nasze uczucia. W sercu jest przemiana: od kontraktu do Pokrewnej Duszy.

- Sam nie wyłożyłbym tego lepiej. - Odsunął jej włosy z twarzy. - Kocham cię, Julianno, od dawna cię kochałem, ale wiedziałem, że nie uwierzysz samym słowom. To zbyt proste.

- Ubrałeś słowa w obrączkę. Oznaczają prawdziwą miłość po verdońsku. Jednego tylko nie rozumiem.

- Czego?

Opuszkami palców przejechała po kamieniach.

- Znaczenia tych innych ametystów, tych pomiędzy różowymi a purpurowymi. Mają taki niezwykły kolor. Nie całkiem czerwony, niebieski czy purpurowy, ale są mieszanką tych wszystkich odcieni. Nigdy nie widziałam ametystów podobnych do nich.

- Mój ojciec natknął się przed laty na te kamienie.

- Są wyjątkowe.

- I taką mają nazwę.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z niewinną ciekawością. - Jak się nazywają?

Obrócił jej pierścień, dotykając każdego kamienia.

- Z królewskiego nakazu, w dniu naszego ślubu zostały nazwane Różem Julianny. Ten kolor odtąd na zawsze będzie oznaczał prawdziwą miłość.

Otarła łzy radości i niedowierzania. Jej oczy świeciły jaśniej niż słońce, gdy trzykrotnie go pocałowała, za każdym razem mocniej i namiętniej. Pierwszy pocałunek przypieczętował ich małżeństwo, drugi był zarezerwowany dla pokrewnych dusz. W końcu dała mu pocałunek prawdziwej miłości.

- Musisz wiedzieć, że zrobiłeś dla mnie coś, czego nikt dotąd nie zrobił - wyszeptała prosto w jego usta.

- Co takiego, księżniczko? Uśmiechem osuszyła ostatnie łzy.

- Sprawileś, że moje marzenia się spełniły. Zadowolony odparł:

- Taka jest rola księcia.